Polonia Semper Fidelis

Miesięcznik nr 143(178) Lipiec 2020

I tura za nami, ale...

Skończyła się pierwsza odsłona tegorocznych wyborów prezydenckich. Jak było do przewidzenia, zwyciężył w niej bezapelacyjnie Prezydent Andrzej Duda, któremu do ostatecznego rozstrzygnięcia zabrakło kilku procent. Wielu liczyło na to, że batalia o najwyższy urząd w państwie rozstrzygnie się już w I turze. Jednak doświadczenie wszystkich kampanii wyborczych na całym świecie wskazuje, że przy wielu kandydatach taki rezultat jest prawie niemożliwym. I tak się też stało.

Jak wynika z oficjalnych podliczeń Prezydent Duda zwyciężył osiągając wynik 43.50% przy rekordowej frekwencji 64.51%. Drugie miejsce zajął Rafał Trzaskowski z wynikiem 30.46%. Pozostali kandydaci (może poza jednorazowym gwiazdorem Szymonem Hołownią) stanowili tylko tło dla głównych kandydatów.

Wynik, osiągnięty przez urzędującego Prezydenta jest imponujący, zważywszy na ilość chętnych do objęcia najwyższego urzędu w państwie. Rokuje to dobre nadzieje na II turę, chociaż nie wydaje się, by batalia była łatwiejsza. Wręcz przeciwnie. A właśnie II tura będzie decydująca, gdzie każdy głos będzie miał wielkie znaczenie. Dlatego pełna mobilizacja jest warunkiem koniecznym.

Z wyników pierwszej tury wynikają tez pewne wnioski, odnosnie innych kandydatów, stanowiących tło. Przede wszystkim jak na dłoni widać, że ZSL zwane też PSL z jego przywódcą Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem odchodzi na śmietnik historii. Ugrupowanie to, o korzeniach w mrocznych czasach PRL potrafiło jedynie przyklejać się do rządzącego obozu dla synekur. Przedzierzgnęło się nielegalnie z ZSL w PSL, co był kpiną z partii owielkich, patriotycznych tradycjach, sięgającej swoimi początkami XIX wieku. Znikomy wynik tego kandydata (2.36%) nie wróży temu ugrupowaniu żadnej przyszłości.

Ale podobnym wielkim przegranym jest rozdmuchana propagandowo postać Roberta Biedronia oraz reprezentowanej przez niego postkomunistycznej Lewicy. Jeszcze nie tak dawno miał być niemalże symbolem lewackiej grupy na scenie politycznej. Tymczasem wynik 2.22% jest niczym wyrok prawdziwego obrazu liczebności połączonych sił środowisk Lewicy oraz LGBT. O tym warto pamiętać.

I tura wyborów prezydenckich charakteryzowała się niewątpliwie najdłuższą i najdziwniejszą kampanią, która je poprzedzała. Oczywiście, wpływ na to miała ogłoszona tzw. pandemia, ale bardziej różne wybiegi polityczne, mające na celu wykorzystać tę sytuację. Były one czynione przez obóz KO-PO kiedy okazało się, że jego kandydatka Małgorzata Kidawa-Błońska wręcz stoczyła się na sondażowe dno, osiągając poziom poparcia wielkości 2%. I tutaj w sukurs przyszedł mu Jarosław Gowin, znana postać rządów PO-ZSL(PSL). Każdy doskonale zna sytuację, w której doszło do wykorzystywania tzw. pandemii, by storpedować wyznaczone początkowo na 10 maja wybory. Do tego doszło współdziałanie bufonowatego Tomasza Grodzkiego, pełniącego funkcję marszałka Senatu. To wszystko sprawiło, że KO-PO zyskała czas na zmianę fatalnej kandydatki zaś same wybory—po licznych przepychankach i blokowaniu ich przez Senat, w którym wiekszość mają środowiska związane właśnie z KO-PO—zostały przesunięte na 28 czerwca. Po dokonaniu tego „zabiegu" nagle okazało się, że tzw. „pandemia" już nie jest przeszkodą nawet w głosowaniu mieszanym (korespondencyjnym i osobistym).

Dokończenie na stronie 2

W numerze m.in.:

Strony 1 i 2

I tura za nami, ale...

Strona 3

Komu oddamy głosy ? Polsce czy partiom ?

Strony 4. 5, 6 i 7

Elity

Strona 7, 8 i 10

Podmiotowość czy przedmiotowość

Strony 10 i 18

All Lives Matter

Strony 11, 12, 13, 14 i 15

Drapieżna kotka

Strony 15, 16 i 17

Wystarczy ruszyć, a cuchnie….

Strony 17 i 18

Komunizm, faszyzm, sodomizm i gomoryzm

Strona 19

Pół wieku trwania na ordynansach

Strony 20 i 21

Niezłomny do końca: Ks. Sylwester Zych - ostatnia ofiara PRL

Strona 22

Wybieram Polskę…lub ?

Strony 23, 24, 25 i 26

Grunwald 1410

I tura za nami, ale...

(dokończenie)

Cierpliwość wyborców również została wystawiona na próbę. Nie wiadomo było, kiedy powinno się prowadzić kampanię wyborczą, kiedy zbierać podpisy itp. Czas został tutaj wykorzystany na rzucenie koła ratunkowego dla KO-PO, na co wskazuje niespodziewanie wysoki wynik Rafała Trzaskowskiego. Poza akcją Jarosława Gowina drugim takim kołem ratunkowym było pojawienie się Szymona Hołowni wśród kandydatów. Miała to być szansa dla tych wyborców KO-PO, którzy byli rozczarowani potknięciami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i jej zawrotnie szybkim szybowaniu w dół. Teraz, po I turze wydaje się być bardzo prawdopodobnym, że oba elektoraty zejdą się w jeden, do którego przystąpią także wyborcy niektórych kandydatów z tzw. „tła", którzy zyskali minimalną ilość głosów (Biedroń, Tanajno a nawet Kosiniak-Kamysz).

I tura była dla wielu kandydatów wielkim wyścigiem o zaistnienie w polityce, pomimo z góry całkowicie przegranych pozycji. Ale takie są reguły systemu zwanego demokracją, że każdy ma do tego prawo.

Pierwsza część pojedynku za nami. W ciągu najbliższych dwóch tygodni bedziemy mieli do czynienia z różnymi, często niespodziewanymi i nierzadko nieczystymi chwytami Rafała Trzaskowskiego i jego zwolenników. Całość walki wyborczej sprowadza się obecnie do klarownej deklaracji każdego z nas jakiej Polski chcemy. Dwóch kandydatów i dwie, całkowicie odmienne wizje rządzenia.

Prezydent Andrzej Duda przez całą kadencję dał się poznać jako ten, który jest prezydentem wszystkich Polaków, stawiającym na wartości. Dbałość o godność w różnych jej wymiarach zawsze stanowiły i stanowią priorytet Prezydenta. Wartości chrześcijańskie, które od ponad tysiąca lat były głównym motorem naszej cywilizacji są nim nadal, zaś religia katolicka cieszy się wolnością, podobnie jak i inne religie mniejszościowe. Do tego dochodzi wielka troska o każdego człowieka w jej materialnym wymiarze. Programy społeczne, realizowane wspólnie z obozem rządzącym (500+, 300+, 13 i 14 emerytura i wiele innych) istotnie podniosły poziom życia przeciętnego Polaka w ostatnich pięciu latach. Do tego bardzo duże dokonania na polu polityki międzynarodowej, w której najważniejszym wyznacznikiem jest niepodległość i dobre imię Polski. Idea Trójmorza oraz doskonałe relacje ze Stanami Zjednoczonymi, uwolnienie Polski od niesprawiedliwych i często po prostu łupieżczych zakusów Rosji oraz Niemiec—to wszystko warte jest podkreślenia, chociaż lista jest o wiele dłuższa. Polska rozwoju, licząca się na świecie to stałe elementy, jakimi kieruje się obecny Prezydent. I najważniejsza sprawa to troska o rodzinę i o młode pokolenie Polaków, wystawione w obecnym, lewacko-satanistycznym świecie na ciągłe ataki ideologii gender i LGBT.

Tymczasem Rafał Trzaskowski jest dokładną odwrotnością takiej polityki. Kłamstwa, kombinatoryka oraz całkowity brak poszanowania wartości to tylko najważniejsze, niezwykle ogólnie przedstawione narzędzia działania. Dał się właśnie z tego poznać jako Prezydent Warszawy w ciągu ostatnich lat. Dodatkowo całkowity brak dobrego zarządzania stolicą Polski. Jeśli tak samo ma wyglądać zarządzanie całym krajem, to jest to krok ku przepaści. Zresztą, kandydat KO-PO nie ukrywa swoich radykalnych lewackich i antypolskich i antychrześcijańskich poglądów. Jego warszawska deklaracja LGBT to jest przedsmak tego, czego można by się było po nim spodziewać gdyby udało mu się wygrać wyścig o fotel Prezydenta RP. Budowa hostelu LGBT czy wyrzucenie kilku milionów na 666(!!!) ławek w kolorach tęczy, zrzuty fekalii do Wisły, podnoszenie wszelkich możliwych oplat w Warszawie—to tylko bardzo skromne wyliczenie tego, co nam wszystkim grozi w skali ogólnopolskiej.

Już niedługo decydująca, II tura wyborów prezydenckich. Od nas samych zależy jaką Polskę będziemy mieli nie tylko dla nas, ale i dla naszych dzieci. Dlatego idzmy i GŁOSUJMY za Polską 12 lipca. GŁOSUJMY za Prezydentem Andrzejem Dudą ! Zwycięstwo nie jest łatwe, ale w zasięgu naszych rąk.

Stanisław Matejczuk

Czy takiej Polski chcesz ?

Komu oddamy głosy ? Polsce czy partiom ?

Druga tura przed nami. Byłaby nie potrzebna, gdyby ubiegający się o urząd dla siebie i płynące z niego korzyści dla swych partii, zechcieli na pierwszym miejscu postawić dobro Polski. Ale nie chcieli i wielu stawia sobie pytania czy zechcą w drugiej turze ? Gdy chodzi o lewicę, sprawa jest jasna. Chodzi jej o to samo, co Platformie, tyle, że miałaby ona do obdzielenia innych niż ta ostatnia beneficjentów czekających na łup. Polska jednych i drugich nic nie obchodzi. Najlepiej, to rozpuściliby oni ją w mętnej cieczy europejskiej. Analogie same się rzucają w oczy i są niejako symboliczne, przynajmniej, gdy chodzi o Warszawę. Kiedyś cuchnęła fekaliami, dziś tonie w zalewającej ją wodzie, a prezydent wtedy i dziś trzyma się od tego z dala, bo ani fekalia ani i powódź nie są tak ważne, jak kariera jego i sitwy, którą reprezentuje i którą częściowo rządzi. A „warszawka"? Dała znowu w wyborach czytelny popis. Lewica wyznająca ten sam światopogląd co PO i Trzaskowski chętnie by podała im rękę, by wtrącić Polskę w bagno, a stamtąd już tylko krok do pogaństwa. Ale oddanie łupu, to dla niej zbyt wielka cena. Jest więc dylemat.

W istocie zatem sprawa jest jasna, gdy chodzi o lewicę pod wodzą Biedronia i PO Budki/Trzaskowskiego. Pięciu kandydatów: Jakubiak, Żółtek, Witkowski, Tanajno i Piotrowski w ogóle się nie liczą. Jedyne co ich dotyczy, to zdziwienie, że wystartowali. Pozostają więc przegrani w mniejszym stopniu, ale mający na swym koncie mniejszy lub większy mandat społeczny: Hołownia, Kosiniak-Kamysz i Bosak. Odwołując się do ich deklaracji, trudno zauważyć tam cokolwiek, co zdradzałoby chęć budowania Polski choćby tylko w podobnym wymiarze, jak to dzieje się przez ostatnie kilka lat, kiedy rządzi nienawidzona przez wszystkie te środowiska Zjednoczona Prawica.

Zatem i tu chodzi, w przypadku PSL, o utrzymanie wpływu na samorządy, dające tłuste obroki dla wierchuszki peeselowskiej, mającej z wsią tyle wspólnego, co lewica ze sprawiedliwością społeczną. Przed długi czas PSL jechało na jednym wózku światopoglądowym z Platformą i SLD. Teraz w wyborach obecnych musi się zdecydować, czy wybiera Polskę pogańską i przyjazną dla złodziei i malwersantów? Konfederacja – to stale jeszcze sfinks. Pomijając jej dość zawiłe oblicze polityczne, bo z dawną endecją nie da się tego skleić, w każdym razie od Trzaskowskiego, PO i lewicy sporo ją dzieli, musi pokazać czy chce Polski naprawdę narodowej i chrześcijańskiej czy pogaństwa hodowanego na prywatnym folwarku, jakim Polska się stanie? Tutaj musi paść odpowiedź jasna. Wszelkie kluczenie między diabłem a lucyferem na nic się nie zda. O Hołowni trudno coś powiedzieć, bo z niejednego pieca chleb jadał, a z jakiego teraz go je, to już jego tajemnica. On sam jechał w kampanii na wózku antykościelnym i pod tym względem przynajmniej nie stanowił zagadki. Co do kształtu państwa i funkcjonowania życia społecznego, to chyba on sam zdawał sobie sprawę, jak mało ma tu dopowiedzenia.

Zatem Polacy muszą wiedzieć jedno i nie kryć głowy w piasek. Ta druga tura, to jest wybór między Polską w sensie politycznym i społecznym stabilną, nie czołgającą się na kolanach przed byle unijnym satrapą, między Polską mającą swoją historię i w niej zakorzenione chrześcijaństwo, a między Polską uwikłaną w rozmaite perwersje, pogańską z przyszłością zależną od wielu czynników tylko nie od niej samej.

I o tym wszystkim powinno się Polakom jasno mówić, wiemy kto to winien czynić. Nawet jeśli będą go smagać zużytym już biczem, zarzutem uprawiania tu czy tam polityki. Każdy, kto żyje w społeczności jest do niej, nie tylko uprawniony, ale wręcz zobowiązany. Bo tego domaga się urząd jaki sprawuje.

Zatem spytajmy samych siebie: czyjego dobra chcemy ? Polski, naszej Ojczyzny, czy koterii ukrytych za partyjnymi atrapami ?

Zygmunt Zieliński

Poznań, wczoraj i dziś

Poznań, niegdyś dumny gród Lecha
Polskości i wiary opoką byłeś
Prusak nie pognębił, choć najechał
Sam się panowania jego pozbyłeś.

W roku 20-tym twe pułki sławne,
Wielkopolskie bolszewikowi dały
Odpór, jak kiedyś nasze pradawne
Skrzydlate chorągwie pełne sławy.

Poznań zawsze w Polsce przodował
Wzorcem był pod każdym względem.
Modlił się, weselił, dobrze pracował
Nie gnał za tandetą owczym pędem.

Znany był w świecie z solidnej roboty
Podziw budziła też rzetelność jego.
Przysłowiem były poznańskie cnoty
Poznaniak zawsze dumny był z tego.

I co się stało, gdzie ten Poznań dawny?
Tak dumny, tak syty swej chwały?
Dziś podziwia pochody hańby, sławny
Z wyuzdania, oklaskujący zakały.

Dziś to miasto ongiś świętomarcinowe
Niechlubny awans zboczony świętuje.
Dziś wprowadza się tu bóstwa nowe
A Ratusz je wspiera i im patronuje.

Nie dziw, że wraz z wiarą ojców i matek
Na śmietnik poszedł polski patriotyzm.
Wszak Berlin jest bliżej a tam dostatek
Więc bliższy jest poznański pragmatyzm.

Poznań wybiera libertynów, lewaków,
A mniema, że stawia na inteligentów.
Trudno tam znaleźć prawdziwych Polaków.
Za to zbyt wiele podejrzanych mętów.

Elity

1. Kilka uwag semantycznych.

W publicystyce nie tylko ostatnich czasów, niekiedy także w dysputach publicznych wraca często temat elit. Co to pojęcie oznacza? Oczywiście najprościej powiedzieć jest: wybór najlepszych z najlepszych. Zaraz pada pytanie o kryterium takiej kategoryzacji. Co to znaczy: najlepszy? Czy istnieje kategoria sumująca jakieś atrybuty, oczywiście pozytywne. Z kolei także ten ostatni termin nie jest jasny, gdyż brak tu odniesienia do konkretnej sytuacji. Zatem nie jest łatwo zdefiniować pojęcie: elita tak, by ono wskazywało na jakąś łatwo czytelną grupę społeczną. Paradoksalnie można o wiele łatwiej wyróżnić pseudoelity, gdyż w przeciwieństwie do elity może być ich wiele i już to samo sprawia, że są to atrapy, co wcale nie wyklucza potencjału ich oddziaływania. Anna Pawełczyńska w swej książce*(1)* użyła słowa „lumpenelita" – chcąc w ten sposób zdemaskować samozwańcze elity równające się właśnie owym pseudoelitom. Autorka użyła mocniejszego słowa, żeby położyć pełen akcent na ich parweniuszostwo. To coś podobnego, jak modne kiedyś słowo „lumpenproletariat" także mające odgrodzić od pewnej kategorii ludzi świat robotniczy znający swą wartość.

Cokolwiek by się sądziło i mówiło o ludziach znajdujących się na wierzchołku drabiny społecznej – takich zawsze w każdym systemie mieć będziemy – nieobojętna jest ich proweniencja, gdyż słuszne jest powiedzonko: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Skorygować trzeba tylko jedno słowo: „starość", gdyż owym zapaszkiem dzieciństwa i wczesnej młodości zatrąca człowiek przez całe swe życie.

Temat: elity, jak się rzekło, pojawia się od czasu do czasu na wokandzie publicznej. W chwili obecnej jego aktualność jest bardziej niż kiedykolwiek dostrzegalna. Słowo użyte w liczbie mnogiej ma też swoje uzasadnienie, gdyż do elit starają się zaliczać także różnego rodzaju koterie polityczne, mające nadzieję, że ta nobilitacja przybliży ich do steru państwem, da kartę wstępu na salony ministerialne i do parlamentu. Stąd też szukanie ich proweniencji należy poszerzyć o analizę naszej przeszłości narodowej i państwowej w okresie ponad stuletnim.

Te elity, nazwijmy je partykularne, wchodzą w obręb elity występującej już tylko w liczbie pojedynczej. W skali narodu i państwowości jest to gremium obarczone odpowiedzialnością za funkcjonowanie jednego i drugiego. Jego konsystencja i kształtowanie się jest dynamiczne, tzn. zależne od umocowania w jakimś kontrakcie społecznym. W demokracji nawet najbardziej ułomnej, sprawa jest jasna. Decyduje vox populi. Od poziomu jego upolitycznienia i morale zależy komu udzieli on preferencji. Sytuacja najgorsza zachodzi wówczas, kiedy mankamentom w tej dziedzinie towarzyszy konieczność poprzestania na bylejakości, gdy przychodzi do przekazania mandatu społecznego, czyli uruchomienia elity bez względu na jej jakość. We Francji za ancien régime'u była warstwa nazywana la noblesse de robe. Była to szlachta, ale z nadania. To samo dzieje się często z elitami rządzącymi z nadania owego vox populi, ale bez kwalifikacji, jaką daje prawdziwa elitarność.

O tym właśnie wypada dziś mówić, nad tym się zastanowić, obecnie, kiedy środowiska pretendujące do elitarności spędzają sen z powiek.

2. Straty nie do odzyskania.

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych i że każda rzecz jest do odzyskania. Nie jest to takie pewne. W latach sześćdziesiątych wiózł mnie w Warszawie taksówkarz ulicą Nalewki. Wtedy mało znalem Warszawę. Widząc tabliczkę z nazwą ulicy powiedziałem: o, te słynne Nalewki. A na to taksówkarz: panie, jakie masz pan Nalewki? No, przecież jest tabliczka z napisem. A on: i tyle ale nic więcej. Nawet gdyby Nalewki odbudowali takie, jakimi one były, to i tak na nic. Nie ma tych ludzi co dawniej, nie ma Żydów, ale wie pan, nie takich z Radomia, prawdziwych, warszawskich Żydów. Miał rację, choć wtedy nie bardzo rozumiałem, co on ma na myśli. Bo rzeczywistość tworzą tylko ludzie, tylko ludzie, nawet najwyszukańsza technika jej nie tworzy. Tylko ludzie.

Po I wojnie światowej brakowało w Polsce ludzi przygotowanych do kierowania państwem. Kadry inteligenckie – nie licząc tej inteligencji salonowej i ziemiaństwa z ogólną ogładą lub fachowością rolniczą – były szczupłe, głównie z dawnej Galicji. Z pozostałych zaborów dochodzili nieliczni. Dwa, a potem cztery uniwersytety polskie i pewna ilość studiujących za granicą zasiliła kadry akademickie. Jednakże nie kryterium inteligenckości, jeśli można użyć tego dziwoląga językowego, decydowało o istnieniu sił państwowotwórczych. W tworzenie państwowości polskiej w tym czasie angażowali się ludzie różnych stanów i kondycji, ale łączyło ich jedno: patriotyzm nie transparentowy, lecz czynny na każdym stanowisku pracy, na każdym posterunku. Patriotyzm polski bez jakiegokolwiek przymiotnika. W czasie wojny bolszewickiej takie właśnie cechy się ujawniły, ale obok nich także inne. Lewica komunistyczna spadkobierczyni SDKPiL gotowa była na Polskę radziecką. I tak właściwie pozostało. Stąd w Dwudziestoleciu krystalizowały się postawy państwowotwórcze, dodajmy w trudnych warunkach nie tylko kryzysu, ale nieustannego dorobku dźwiganego ofiarnie przez naród. Etniczni Polacy stanowili niewiele ponad 2/3 ludności kraju, ale za to świadomość niepodległościowa, bazująca na tych dwóch trzecich pomagała „wychować" obywatela świadomego swej tożsamości. To odbywało się od 1 klasy szkoły powszechnej, poprzez organizacje młodzieżowe, zwłaszcza harcerstwo, aż do

Ciąg dalszy na stronie 5

Elity

(ciąg dalszy ze strony 4)

studiów uniwersyteckich. W ten sposób Polska – II Rzeczypospolita – dorobiła się w ciągu 19 lat elity z pokaźnym jej zapleczem. Nie można tego idealizować, bo jak w każdej elicie, zdarzały się odpady, niemal zawsze generowane prywatą, ale to był faktycznie margines, który nie zarażał reszty, tej która w czasie próby zdała egzamin. Zwłaszcza to zaplecze w postaci doskonale do życia i zadań społecznych przygotowanej młodzieży budziło nadzieję, że Polska, odradzająca się w ciągu całego Dwudziestolecia kosztem ogromnego wysiłku, inwestująca tak wiele w moralne i wszechstronne przygotowanie kadr państwowotwórczych, cementująca silną integrację narodu, mimo tak głębokich nierówności społecznych, odzyska wszystko, co zniszczyły zabory.

Napad na Polskę z dwóch stron, przez Niemcy i Rosję sowiecką prowadził nie tylko do aneksji ziem polskich i unicestwienia polskiej państwowości. Pierwszym i najważniejszym celem było właśnie zniszczenie dorobku ludzkiego Dwudziestolecia. Niemcy od chwili wkroczenia do Polski zaczęli, najpierw na Pomorzu i w Wielkopolsce eksterminację właśnie elit, nie tylko intelektualistów, ale całej warstwy przywódczej. Zamknięcie szkół polskich, miało uniemożliwić kształcenie i wychowanie, czyli pozbawić naród odradzania się sił twórczych. Przez cały czas okupacji, w Polsce w przeciwieństwie do okupowanych krajów zachodnich, trwało biologiczne wyniszczanie Polaków, głównie skierowane na środowiska przywódcze i twórcze pod każdym względem, gospodarczym, kulturalnym, zwłaszcza jednak politycznym. W sumie straty ludnościowe w Polsce, licząc tylko okupację niemiecką, wyniosły 6 028000 osób w tym około 3 miliony obywateli polskich narodowości żydowskiej. Ciężkie straty poniosły środowiska inteligenckie, nie tylko wskutek osławionej AB Aktion, ale także w różnych innych sytuacjach; zginęło 39 % lekarzy, 33 nauczycieli, 30 % naukowców, 28 % duchowych, 26 % prawników. Liczbę Polaków, którzy zginęli pod okupacją sowiecką określa się na około 500 tysięcy. W Katyniu zamordowano kwiat inteligencji polskiej, nie tylko oficerów i policjantów, ale także osoby wielu zawodów inteligenckich.

Już same wyliczone tu pobieżnie straty wpłynęły na degradację wszystkich dziedzin życia w Polsce i to na dziesięciolecia. Do tego trzeba dodać tych Polaków, którym rezultat wojny uniemożliwił powrót do kraju. Miary zniszczenia dopełniły rządy komunistów, którzy tępili wszelkie przejawy patriotyzmu i wyzwolenia Polski spod rządów sprawowanych pod dyktando Kremla. Tępienie inteligencji dystansującej się od powojennych rządów w Polsce ilustruje przypadek Mariana Rejewskiego, współtwórcy Enigmy, który po wojnie, wróciwszy do Polski, ukrywał się w Bydgoszczy jako urzędnik, dopiero w 1967 roku odważywszy się zdradzić swą tożsamość. Takich przypadków było co niemiara, a także o wiele drastyczniejszych, nawet nie sięgając do mordów sądowych na ludziach walczących o wolną Polskę, jak choćby kara śmierci na sławnego pilota, Stanisława Skalskiego, tyle, że nie wykonana.

Paroksyzm niszczenia wszystkiego co polskie trwał do roku 1956 i spowodował kolosalne szkody. Nieliczni tylko zdają sobie dziś sprawę z tego, że dodatkowym ciosem i to gdy chodzi o stan polskich elit po wojnie, szczególnie dotkliwym, było bezmyślne zniszczenie warstwy niezwykle twórczej dla przysparzanie narodowi kadr przywódczych i pomnażania jego dóbr kulturalnych. Chodzi o ziemiaństwo i produktywnych chłopów uznanych z sowiecka za kułaków. Odsunięto tych ludzi od szkół wyższych, od wydajnej produkcji zagarniając ich dobra, a co więcej niszczono ich mienie – dworki, zwłaszcza będące znakami rozpoznawczymi krajobrazu polskiego – popadały w ruinę świadomie zaplanowaną przez władze. Odrzucono doświadczenie tych ludzi, choć kraj wprost stękał pod ciężarem doznanej dewastacji. Wyśmiewano i lżono ich sposób bycia, który przed wojną przyswajano w każdym gimnazjum, w każdej szkole oficerskiej, o studiach nie wspominając, gdyż tam szli ludzie już ukształtowani. Międzyludzkie obcowanie na kształt człowieka cywilizowanego zastąpiono chamstwem, którym się chełpiono, jako insygnium nowej władzy, nazywanej ludową, ale która z ludem nie miała nic wspólnego, gdyż w ludzie było właśnie odbicie tego „pańskiego dworu", podczas gdy w tej nowej władzy odbijał się półświatek. Ta dewastacja polskości wraz z jej tożsamością nie była jednorazowym paroksyzmem. Takie organizacje, stanowiące konterfekt sowieckiego komsomołu i hitlerowskiego Arbeitsdienstu, Hitler-Jugend, jak ZMP, Służba Polsce, ZWM, a z czasem także OM TUR były matecznikiem kadr, które ów populizm komunistyczny w najgorszym gatunku uznał za elity, do tworzenia których przystąpiła Polska Bieruta, Cyrankiewicza, Bermana, MBP, Urzędów Bezpieczeństwa i po grudniu 1948 r. ostatecznie ukształtowana mafia nomenklatury komunistycznej – PZPR. Nic dziwnego, że najlepsi Polacy, ludzie, dla których honor, dobro Polski i wierna jej służba stanowiły wartości niezbywalne, wędrowali sukcesywnie na tzw. „łączkę", nie licząc innych miejsc kaźni. Dzisiaj trudno oszacować liczby tak zgładzonych patriotów, mowa niekiedy o 20-30 tysiącach. W każdym razie byłyby to szacunki wyższe niż liczba poległych w Powstaniu Warszawskim szacowana na 18 000.

Można więc śmiało powiedzieć, że polską warstwę przywódczą mają na sumieniu Niemcy, Sowieci i komuniści w części jednak polscy, którzy z tych samych powodów eksterminowali warstwę przywódczą w narodzie polskim. Jedynie ci ostatni zdołali w jej miejsce stworzyć własne elity, które z kolei stworzyły zasiew owocujący osobnikami im podobnymi, aczkolwiek z o wiele skuteczniejszym wyposażeniem technicznym. Zatem też o wiele szkodliwsze aż po dziś dzień. Bo to są

Ciąg dalszy na stronie 6

Elity

(ciąg dalszy ze strony 5)

właśnie epigoni siermiężnej elity PRLu, mającej stale sukcesorów obecnie w inny tylko sposób niszczących Polskę. Wielotomowa i wielkim trudem skompletowana seria nosząca ogólny tytuł *Dzieci resortowe* – niech cześć będzie jej autorom – te rzeczy odsłania. Dzieło to jest przede wszystkim dlatego ważne, że pokazuje ono pączkowanie tych latorośli posadzonych wówczas przez Stalina. To jest ważne i bez tego nie potrafimy zrozumieć postępowania wielu obecnych pretendentów do władzy i tych, którzy ją niechlubnie przez niemal 30 lat sprawowali.

3. Primum non nocere.

To przykazanie obowiązujące każdego lekarza (tylko, na miłość boską, w TV nie czytajcie: non nocere, ale jak należy: nocere – 2 koniugacja) powinno obowiązywać każdego człowieka, ale kogoś, kto się uważa za polityka w szczególności. W czasach, z którymi walkę podjęła komuna, można się było tego spodziewać, gdyż elity były dojrzałe nie tylko pod względem towarzyskim, ale także etycznym. Wyjątki od tego odbiegające ginęły śmiercią cywilną. Takim osobom nie podawano ręki, nie przyjmowano żadnego ich poręczenia, po prostu poddane były ostracyzmowi. Złodziej mienia publicznego, łapownik, takie przypadki się zdarzały, ale nie były tolerowane. I nie trzeba było tego nikomu tłumaczyć, kto odebrał wychowanie obywatelskie. Tego elity ukształtowane w Polsce pod knutem sowieckim nie rozumiały, to raz, a poza tym nawet ci, którzy z tych dawnych elit się do polityki przemycili, musieli zapomnieć o zasadach, w jakich wyrośli, gdyż o tym co można, a czego nie wolno decydowała partia. Korupcja aparatu wymiaru sprawiedliwości w tym czasie jest dobrą ilustracją dla powyższej tezy. A z kolei partia podlegała niepodważalnym dogmatom. W ten sposób po 1944 roku odbudowa elity w oparciu o zasady narodowe, chrześcijańskie, obowiązujące w cywilizacji śródziemnomorskiej było niemożliwe. W 1989 r. wielu sądziło naiwnie, że wróci porządek, jaki obowiązywał w II Rzeczypospolitej, chociaż ani ludzie robiący wówczas pewien, jeśli nie przewrót, to w każdym razie obrót tego nie rokowali. To byli już politycy albo wyrośli całkowicie na wikcie partyjnym i wcale nie chcący niczego zmieniać, poza bezsensownością systemu nakazowego i częścią starej nomenklatury zbyt zaskorupiałej w dogmatyzmie, by mogła nadal bez prokurowania dalszych szkód funkcjonować. Albo była to grupa dysydencko-opozycyjna bez konkretnego savoir vivre'u polityki, jaką chcieli uprawiać. Wśród tych ostatnich znalazło się wielu ludzi dobrej woli, ale byli w mniejszości i byli wyraźnie zdominowani przez lewicę typu peerelowskiego, która zresztą była u władzy w latach 1993-1997 i pod jej egidą powstała obecnie obowiązująca konstytucja, następnie w latach 2001-2005. Tradycyjnie z lewicą szło PSL i Unia Pracy. Jeśli do tego doda się rolę polityków wywodzących się nie tylko z kręgów PZPR, ale i z grona czołowych aparatczyków, do których należeli m. in. Kwaśniewski, dwukrotnie obrany prezydentem, Miller, Oleksy, Kiszczak, a nawet architekt stanu wojennego, Jaruzelski, to mamy wręcz groteskowy obraz ekipy mającej budować III RP. Okrągły stół i Magdalenka przyniosły zbratanie tzw. opozycji demokratycznej i dawnej nomenklatury. Te środowiska opanowały całkowicie media, a te z kolei zrobiły wodę z mózgu poważnej części społeczeństwa. I tu właśnie okazało się, jak wielką klęską było wybicie przez wymienione wyżej siły okupacyjne oraz ich serwilistycznych pomagierów krajowych – na szczęcie w dużej mierze niepolskich – najlepszej części narodu, do końca walczącej z narzuconym bolszewickim jarzmem. Nie dziwi zatem, że totalna opozycja ostatnich lat tak nienawidzi żołnierzy niezłomnych. Są oni może dla niektórych wyrzutem sumienia, dla większości wszakże pozostali wrogami, jak byli nimi wtedy, kiedy ich dziadkowie ich mordowali. To, że wśród walczących dzisiaj o władzę per fas et nefas nie ma nawet śladu dziedzictwa po tej wspanialej elicie Polski Niepodległej, jakiej się ona w tak krótkim czasie dopracowała, nikogo nie może dziwić. Polska, przez motłoch nazywana „pańską", a która była po prostu Polską. Ta elita najzwyczajniej umarła. Z trudem odradza się etos Polaka znany z historii i niektórej sagi rodzinnej. Pokolenie Kolumbów rocznik 20 odradza się powoli, mozolnie, a „elity" postpeerelowskie czyniły wszystko, by proces ten opóźniać i czynią to w dalszym ciągu. Pomagają im ci wszyscy zawiedzeni, bo nie sprawdzili się na najwyższych stołkach, a mimo to do nich pretendują. W obecnej trudnej sytuacji, kiedy usiłują wykorzystać pandemię, by coś dla siebie ugrać, „totalna" weszła już na drogę przestępstwa, a Najjaśniejsza Rzeczpospolita, ta matka wszystkim przebaczająca, pozwała rosnąc kąkolowi do żniwa. Toteż nie powinniśmy się martwić kandydatami do prezydentury z lewa i znikąd, ale trudno zrozumieć takich ludzi jak Gowin, bo nie wywraca się stołka, na którym siedzi się choćby tylko częścią swej czcigodnej, zadziwił jeszcze bardziej Marek Jurek swym artykułem w Rzeczpospolitej (16 IV 2020) *Katolicy przed wyborem*. Walka o położenie kresu zabijaniu nienarodzonych trwa i trwać będzie na całym świecie, gdzie problem jest o wiele bardziej nabrzmiały niż w Polsce. Nie tylko sumienie podbudowane racjami religijnymi, ale także wartości etyczne płynące z człowieczeństwa stanowią barierę chroniącą przed uzurpacją, jaką jest decydowanie przez człowieka o życiu i śmierci. Stąd też bezkompromisowość autora artykułu ma swoje niepodważalne uzasadnienie. Jednakże aż nadto dostrzegalna jest próba spowodowania frondy wśród wyborców mających decydować o kształcie Rzeczypospolitej na najbliższą przyszłość. Nie od rzeczy jest zatem

Dokończenie na stronie 7

Podmiotowość czy przedmiotowość

Często spotyka się opinię, że między politykami nie ma istotnych różnic, bo "wszyscy kradną", choć jedni więcej, a drudzy mniej. Nietrudno zauważyć, że różnice jednak są, a można je sprowadzić do podziału na zwolenników przedmiotowości i podmiotowości Polski. Miłośnicy przedmiotowości noszą różne kostiumy i nawet jeśli wewnątrz grupy występuje coś w rodzaju rywalizacji, to w każdej chwili są w stanie zawiązać jakąś "koalicję europejską" czy "pakt senacki", by jako "opozycja demokratyczna" wspólnie zwalczać zwolenników podmiotowości. Cechuje ich postulowana przez Konfederację "wielowektorowość", ale jeden wektor jest najsilniejszy – to spolegliwość (służalczość?) wobec czynników zewnętrznych ubrana w retorykę "stosunków dobrosąsiedzkich" czy "współpracy międzynarodowej".

Gdy komuniści sowieccy przygotowywali się do swego "upadku", wymyślili "doktrynę Falina – Kwicinskiego" polegającą na zastąpieniu obecności militarnej w dawnych krajach "demokracji ludowej" na uzależnienie energetyczne. Kraje już formalnie niepodległe zamierzano kontrolować metodą tańszą, wizerunkowo lepszą, a równie skuteczną. Pewnie niewielu ludzi wie, że prezydent Putin jest doktorem gazownictwa, a jego praca doktorska dotyczyła eksportu gazu jako środka do osiągania celów politycznych. Grupa ludzi skupionych wokół braci Kaczyńskich była zdania, że choćby częściowe uniezależnienie się od dostaw węglowodorów z Rosji jest niezbędnym warunkiem naszej suwerenności. Niestety ugrupowania polityczne sprawujące władzę przez większość historii III RP albo nie dostrzegały takiej zależności, albo nie uważały suwerenności za wartość istotną. Historia starań o dostawy gazu z Norwegii liczy już ćwierć wieku, bo starania te były dwukrotnie zatrzymywane natychmiast po dojściu do władzy koalicji SLD-PSL (2003) i PO-PSL (2007). Podczas pierwszych rządów PiS udało się rozpocząć budowę gazoportu w Świnoujściu, ale kadencja skończyła się po 2 latach, co wystarczyło na budowę Muzeum Powstania Warszawskiego, było jednak okresem zbyt krótkim na ukończenie terminala gazowego. Następny rząd premiera Tuska musiał już kontynuować budowę, choć zdołano opóźnić jej ukończenie o 3 lata.

Z ujawnionych amerykańskich danych analitycznych wynika, że Lech Kaczyński był "niesterowalny", i to, obok uporczywych starań o niezależność energetyczną Polski, było przyczyną jego śmierci.

Porozumienia z Gazpromem były nadzwyczaj korzystne dla Rosji. Były też korzystne dla negocjatorów, a tak się dziwnie składa, że Rosjanie upodobali sobie "ludowców" na negocjatorów. Inżynier Witold Michałowski, który całe swoje życie zawodowe budował rurociągi na wielu kontynentach, twierdził, że negocjatorzy porozumień otrzymali prowizję160 mln $, choć "gazowy biznesmen" Aleksander Guzowaty korygował tę sumę do 110 mln.

26 marca 2010 roku zespół ekspertów złożył w kancelarii prezydenta RP dokument wskazujący, że pakiet porozumień gazowych z Rosją został zawarty z ewidentną szkodą na rzecz polskiego obywatela, że posiadał fundamentalne błędy prawne, i że nie pobieramy opłaty za tranzyt gazu tracąc miliard dolarów rocznie. Była też sugestia, żeby anulować pakiet porozumień i renegocjować umowę.

8 kwietnia 2010 prezydent Obama spotkał się z prezydentem Miedwiediewem, by podpisać coś w rodzaju układu o amerykańskim dezinteressement wobec Europy Środkowo – Wschodniej. 9 kwietnia 2010 uruchomiona została budowa rurociągu Nord Stream. 10 kwietnia 2010 mgła pojawiła się w Smoleńsku na godzinę przed lądowaniem i ustała dokładnie w momencie katastrofy. Dwadzieścia minut później minister

Ciąg dalszy na stronie 8

Elity

(dokończenie

pytanie cui bono takie dywagacje, jak te, które odczytujemy w artykule pana Marka? Kto na tym skorzysta? Czy ci, którzy aborcję dopuszczają ad libitum, a podobnie ustosunkują się do eutanazji, dodając do tego małżeństwa homoseksualistów? Nie rezygnujmy z ważnego kryterium naszego rozumowania, ze zdrowego rozsądku. Gowin nie spłacił jeszcze długu, jaki zaciągnął wobec polskiego szkolnictwa wyższego. A temu, któremu ten dług przyjdzie spłacać, a przyjść musi, tylko głębokie współczucie się należy. Spowiadanie się w TVN24, a do tego dziś doszło, zdaje się potwierdzać opowiadanie skrajnych (?) pesymistów o Koniu Trojańskim. Nie ma więc nastroju nawet do odrobiny optymizmu, a tak bardzo go dzisiaj potrzeba, kiedy zabrakło tych, którzy kiedyś wszystko co mieli, łącznie z życiem, oddali dla Polski. Zabrakło i niezbyt szybko znowu podobne pokolenie dokończy sprzątanie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Nie tak szybko zrozumieją Polacy, że „targowicy" trzeba się wstydzić, a nie się z nią obnosić. Prawdziwie będzie Polska bezpieczna jedynie wtedy, kiedy głos renegata niech sobie będzie słyszalny w Strasburgu, Brukseli i wszędzie tam, gdzie pójdzie on pluć na kraj, który powinien on nazwać własnym. Tak robili karierę wszyscy jurgieltnicy, niezależnie od tego, kto im płacił. Nie zyskiwali ani chwały, ani władzy, tylko pieniądze. Tak było i tak jest dopóki opłaca się serwilizm, kiedyś wobec cara i kaizera, a teraz …? Trudno by zliczyć kupujących honor, sumienie, wartości, za to łatwo sprawdzić kto nimi kupczy.

Zygmunt Zieliński

Przypisy:

(1) Anna Pawełczyńska, Głowy hydry, Dziekanów Leśny 2014.

Podmiotowość czy przedmiotowość

(ciąg dalszy ze strony 7)

Sikorski zawiadomił o katastrofie Jarosława Kaczyńskiego dodając, że wszyscy zginęli.

Trzy dni później Sikorski poinformował świat w telewizji CNN, że samolot był sprawny, a winę ponoszą piloci próbując wylądować we mgle.

29 października 2010 roku, już w warunkach "nowego otwarcia" i gwałtownego wzrostu przyjaźni z Rosją, Waldemar Pawlak i Igor Sieczin podpisali kolejną, również niekorzystną umowę, po której nasz "ludowiec" był nawet niepokojony przez wścibskich prokuratorów.

Dopiero dziś, po 25 latach starań i wielu ofiarach, jesteśmy blisko niezależności energetycznej, choć wcale to nie znaczy, że nie będzie kłopotów. Fakt, że uzyskano opinie środowiskowe i zgody rządów Norwegii, Szwecji i Danii, a nawet rozpoczęto budowę rurociągu Nordic Pipe świadczy, że Rosja nie ma już tak wielkiego wpływu na zachodnie rządy. Tym niemniej pozostaje jedna potencjalna przeszkoda – konieczność uzyskania zgody Rosji na skrzyżowanie trasy rurociągu z rurociągiem Nord Stream.

Czy to energetyka leży u podłoża ciągłych desperackich prób wymiany ekipy rządzącej w Polsce? Dziś, w obliczu pandemii przedstawiciele wielu partii opozycyjnych w Europie deklarują zawieszenie walki politycznej i pełne poparcie rzadów. Lecz u nas widzimy proces całkiem odwrotny – ataki na rząd uległy wzmożeniu, a nawet jest już organizowany "gniew ludu".

Mieliśmy w PRL całkiem duży przemysł zbudowany w sporej częsci za kredyty zaciągnięte przez Gierka, a zakłady przemysłowe -wbrew panującej opinii- nie zawsze były przestarzałe. Sam czytałem przed laty w "Financial Times", jak prezes *International Paper Company* chwalił się swoimi zdolnościami biznesowymi, gdyż udało mu się zakupić najnowocześniejsze na świecie zakłady papiernicze w Kwidzyniu za okazyjną cenę 20 procent wartości (negocjator strony polskiej min. Lewandowski chyba też był zadowolony).

Zdaniem premiera Olszewskiego, żeby ukraść sto złotych marnowano tysiąc. Niszczarka działała skutecznie - w 1989 roku istniało 8500 państwowych przedsiębiorstw, a w roku 2015 już tylko 240.

Sprawdzoną techniką było doprowadzanie do bankructwa i odkupywanie zakładu po korzystnej cenie. Ale najdziwniejsze jest, że autorzy tych zniszczeń do dziś brylują na salonach, udzielają wywiadów, reprezentują Polskę w europarlamencie, a jednegoz nich wdzięczni Europejczycy wybrali na swego "króla". Z dzisiejszej perspektywy widać, że ten *bezprecedensowy w dziejach świata demontaż państwa, to wygaszanie Polski, było świadomym niszczeniem dorobku pokoleń Polaków w celu pozbawienia podstaw materialnych* do odbudowy suwerenności.

Ponadto świat nie był gotowy na przyjęcie "nowego gracza". Powiedział o tym wyraźnie pewien amerykański senator Andrzejowi Gwiaździe podczas jego wizyty w Stanach Zjednoczonych w latach 90 – tych: "Co zrobić z waszym przemysłem? Z zarobkami rzędu centów za godzinę zdestabilizujecie gospodarkę światową. Dlatego nie możemy poprzeć waszej niepodległości". Dlatego konieczny był "plan Balcerowicza" i powstanie państwa montowni, hurtowni i aquaparków – państwa z przywódcami w rodzaju Tuska czy Pawlaka. Gdy poinformowano Donalda Tuska o katastrofalnym stanie polskiej demografii, o dosłownym wymieraniu narodu, jedyną reakcją premiera był chamski żart – "panowie, bierzmy się do roboty". Przy okazji mowy wygłoszonej z okazji nadawania kolejnego doktoratu h.c. Lech Wałęsa stwierdził, że w Polsce powinno mieszkać 20 mln ludzi do obsługi lini tranzytowych wschód – zachód. Oczywiście "mędrzec Europy" sam sobie tego nie wymyślił, ale taką wizję kreślili Polakom przywódcy i na tyle wyznaczono górną granicę naszych ambicji i aspiracji. Przyszli historycy będą spierać się który z nich bardziej zaszkodził Polsce. Gorzej, że ciągle w kraju są miliony ludzi skłonnych powierzyć władzę sukcesorom tych postaci. Bo nie jest tak, że w Polsce żyją sami patrioci, czy świadomi Polacy. Wielu jest takich, których Roman Dmowski określał jako "żywioł polski" – bardzo wdzięczny materiał dla medialnych manipulatorów. Być może znaleźliby się także budowniczowie bram triumfalnych dla wkraczających obcych wojsk. Uleciały z naszego słownika słowa "renegat" czy "zdrajca", ale to nie znaczy, że nie istnieją ludzie, którzy w pełni wyczerpują znaniona tych pojęć.

W grudniu 2013 roku Grupa Inicjatywna Związku Ludności Narodowosci Śląskiej wysłała list do ambasadora Federacji Rosyjskiej z prośbą, by nie mierzyć rakietami z Kaliningradu w Śląsk, bo Śląsk nie identyfikuje się z Polską i zawsze pozostaje przyjazny Rosji. Wcześniej przywódca Ruchu Autonomii Śląska dr Gorzelik zapowiedział, że do roku 2020 Śląsk uzyska pełną autonomię, a on przystapi do walki o autonomię dla innych regionów – w pierwszym rzędzie dla regionu kaszubsko – pomorskiego. Plany te zostały pokrzyżowane w wyniku wyborów 2015 roku, ale wystarczyłaby jeszcze jedna kadencja rządów PO-PSL, a "kwestia polska" została by trwale "rozwiązana". Dlatego musimy być szczególnie uwrażliwieni na hasła typu "autonomia – najwyższą formą samorządności", czy mówienie, że "samorządy są najbliżej ludzi i najlepiej znają ich potrzeby, a nie rząd w Warszawie".

W trzydziestą rocznicę częściowo wolnych wyborów, 4 czerwca 2019 roku w Gdańsku prezydenci największych miast zrzeszeni w Unii Metropolii Polskich im. Pawła Adamowicza ogłosili 21 postulatów. Czy przez przypadek Fundacja Batorego postanowiła udoskonalić polski samorząd i ogłosiła swój raport w tym

Dokończenie na stronie 10

Uśmiechnij się...

Blondynka kupiła sobie sportowy wózek - porshe. Już na pierwszej przejażdżce zajechała drogę wielkiej ciężarówie. Pisk opon... dym spod kół, wziuuu... trzask, prask i naczepa w rowie... Porszak zdążył szczęśliwie wyhamować, za kółkiem siedzi zblazowana blondi typu "no co, przecież nic się nie stało". Z kabinki Scanii wygramolił się mocno zdenerwowany szofer, wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i narysował kółko na asfalcie. Następnie wyciągnął blondynkę, postawił w tym kółku i krzyczy:
- Stój Ty pokrako i nie ruszaj się stąd !
Blondi stanęła posłusznie, a facet zabrał się za demolkę w porszaku. Wyrwał drzwi, przednie fotele wyciepał do rowu, ogląda się za siebie... blondi nic - stoi i się uśmiecha...
- Czekaj no... - pomyślał facet wyciągając majcher.
Spruł dokładnie tapicerkę, podziurawił opony, ogląda się za siebie, blondynka chichoce...
- Zaraz cię jeszcze bardziej rozbawię... - facet poleciał po kanister, oblał porszaka i podpalił grata. Wraca do blondynki, a ta wciąż stoi, tylko buźka jej śmieje:
- Hihi... haha... hihiii...
- No i co w tym takiego śmiesznego ? - pyta facet.
- Hihi... a bo jak pan nie patrzył, to ja wyskakiwałam z tego kółka...

***

W gazecie, w dziale praca ukazało się ogłoszenie, że policja poszukuje ludzi do pracy.
Zgłosiły się trzy blondynki. Stanowisko było jedno. Postanowiono więc wybrać tą jedną w drodze małego testu.
- Proszę bardzo, tu mamy dla pani zdjęcie z profilu tego osobnika. Proszę powiedzieć nam jak najwięcej o nim, co się pani nasuwa, jakieś spostrzeżenia.
- Jezu! On ma tylko jedno ucho !
Kandydatce podziękowano. Druga otrzymała takie samo polecenie.
- Jezu! On ma tylko jedno ucho !
Ta również wypadła poniżej oczekiwań. Poproszono trzecią kandydatkę.
Proszę bardzo, tu mamy dla pani zdjęcie z profilu tego osobnika. Proszę powiedzieć nam o nim jak najwięcej , co pani może powiedzieć o tej osobie na podstawie zdjęcia.
- Ten człowiek nosi szkła kontaktowe.
Komisja spojrzała zadziwiona. Sprawdzono w dokumentach; rzeczywiście.
- No wspaniale ! Gratulujemy ! Jest pani przyjęta. Ale jak pani to wydedukowała ?
- To proste. Ten człowiek nosi szkła kontaktowe, bo nie może nosić okularów.
- Ale dlaczego ?
- No jak to? No przecież on ma tylko jedno ucho !

***

Toczy się sprawa w sądzie. Na kolejnego świadka zostaje wezwana sekretarka szefa: młoda, urocza blondynka.
- Czy wie Pani, co panią czeka za składanie fałszywych zeznań ?? - pyta sędzia po przesłuchaniu kobiety.
- Tak ! - odpowiada z uśmiechem dziewczyna. - Szef mi coś wspominał o dwustu tysiącach dolarów i futrze z norek.

***

Właśnie widziałem kota pod drzwiami sąsiadów miauczącego by go wpuścić, niewiele myśląc podszedłem, zadzwoniłem i poszedłem dalej zostawiając tak kota. Za chwilę dotarło do mnie co zrobiłem, kiedy usłyszałem krzyk właściciela:
- O kurde, Sara! Kot właśnie zadzwonił dzwonkiem !!!

***

Kobieta kupiła sobie drogie kosmetyki odmładzające. Po jakimś czasie pyta męża:
- Kotku, na ile lat wyglądam ?
- Patrząc na twoją cerę dałbym ci 18 lat, na figurę - 21, na włosy 23...
- Kochany jesteś !
- Poczekaj jeszcze nie skończyłem dodawać...

***

Mąż dzwoni do biura, w którym pracuje jego żona blondynka:
- Słuchaj - mówi z przerażeniem. Wróciłem wcześniej do domu i wyobraź sobie - tragedia ! Twoja mama, a moja teściowa weszła na drzewo a konar, na którym stanęła, złamał się i ona zginęła !
Na to blondynka:
- Niemożliwe. A pod drzewem szukaliście ?

***

Wraca kobieta od kosmetyczki i mówi do męża :
- Słuchaj, byłam w salonie piękności.
- I co ? Zamknięte ?

***

Jedzie zamożny gościu autem i zauważa, że stary wóz z sianem leży w rowie. Wysiada i widzi płaczącego dzieciaka. Pyta: Co ci się stało.
On: Jechałem i ... no wóz się wywrócił i wpadł do rowu... Ojciec mnie zabije - po czym nadal płacze.
Facet: Nie płacz pomogę ci wyciągnąć wóz, i ojciec cię nie ukarze.
Dzieciak płacząc jeszcze bardziej: Kiedy tatulek pod wozem leży !!

***

W Wielkanoc chłop wchodzi do stodoły i mówi do krowy:
- Mećka, powiedz coś !
- Nic z tego ! Ja mówię tylko w Wigilię.

***

- Dlaczego na polowaniu strzelał pan do swojego kolegi ? - pyta sędzia na rozprawie.
- Wziąłem go za sarnę.
- A kiedy spostrzegł pan swoją pomyłkę ?
- Kiedy sarna odpowiedziała ogniem...

***

Początkujący myśliwy wyrusza na polowanie z dwoma psami. Po godzinie wraca.
- Co się stało ? - pytają koledzy. Wróciłeś po nowe naboje ?
- Nie, po nowe psy.

***

- Co ci się stało w oko ?
- Dostałam śrubokrętem od Kowalskiej.
- Przez przypadek ?
- Nie, przez dziurkę od klucza.

All Lives Matter

Gdyby ktoś jakieś 20 lat temu powiedział mi, że doświadczę w USA czegoś na kształt rebelii francuskiej lub bolszewickiej, popukałbym się w czoło i zignorował go jako nie bardzo poważnego. I bardzo bym się mylił.

To, co się dzieje w Stanach jest właśnie taką rebelią, nasyconą tym razem nie jakimś hasłem proletariatu ale czystym rasizmem. Bo niby dlaczego tylko czarne życie się liczy ? Czyżby każde inne było nic nie znaczącym elementem ?

Ruchem neobolszewickim kieruje organizacja terrorystyczna Antifa, skrajnie lewacka i skrajnie radykalna. Finansowana przez znanego mecenasa unicestwiania cywilizacji Zachodu George'a Sorosa. Ten satanistyczny punkt widzenia, oparty na nienawiści jest podsycany do gigantycznych rozmiarów. A przecież w zbiorowisku działaczy Antify są także osoby o innym kolorze skóry: biali, azjaci czy latynosi. Akcentowanie wyłącznie jednej rasy jest zatem w prostej linii zwykłym rasizmem.

Chyba pierwszym politykiem, który odważył się wypowiedzieć tę prawdę jest Prezydent Czech Milosz Zeman. Podczas przyjęcia w Ambasadzie USA w Pradze z okazji 244 rocznicy niepodległości Stanów Zjednoczonych powiedział, że hasło "Black Lives Matter" jest rasistowskie. Podkreślił, że "ważne jest każde życie" („All Lives Matter").

Niewątpliwie Prezydent Czech naraził się strasznie światowemu lewactwu, walczącemu z cywilizacją życia. Przyjęcie bowiem zasady, że każde życie się liczy obraca w popiół wysiłki tych gremiów w propagowaniu globalnej eutanazji czy zabijania nienarodzonych. Zrozumiałym jest szok, jaki wywołał swoją wypowiedzią. Tym krótkim

Dokończenie na stronie 18

Podmiotowość czy przedmiotowość

(dokończenie)

samym czasie? W otulinie nowomowy i rytualnych frazesów o demokracji , samorządności i rządach prawa, eksperci od Sorosa i prezydenci "wolnych miast" jasno i bez ogródek wyartykuowali program demontażu państwa:

Likwidacja urzędu wojewody na rzecz "niezależnej izby audytu samorządowego".

Zwiększenie autonomii programowej szkół (możliwość kształtowania różnych programów szkolnych w zależności od regionu).

Likwidacja kuratorów oświaty. Utworzenie policji samorządowej (wyodrębnionej z policji państwowej i podporządkowanej samorządom). Tzw. "rozproszone przywództwo lokalne" reprezentowane przez Federację Samorządową – "jedną silną organizację grupującą wszystkie samorządy i reprezentującą je wobec władzy centralnej". Weto samorządowe umożliwiające czasowe wstrzymanie procesu legislacyjnego, co "pozwoliłoby na przeprowadzenie dodatkowych konsultacji".

Jest też postulat "odpolitycznienia mediów publicznych". Jak widać "internacjonaliści europejscy" i postkomuniści nie mogą się pogodzić z utratą w 2015 roku monopolu informacyjnego i żądają "neutralizacji" telewizji publicznej.

Dlatego warto, żeby malkontenci narzekający na telewizję publiczną, której "nie da się oglądać", pamiętali, że nawet jeśli jest to propaganda, to propaganda polska. Byłoby źle, gdyby jej nie było.

I wcale nie jest oczywiste, że będzie zawsze. Po zmianach roku 2010 (które miały cechy zamachu stanu) zwolniono z TVP rzeszę ludzi, a z zapowiedzi beneficjentów III RP wynika, że tym razem czystki będą jeszcze większe. Czy wówczas telewizja z "naszych podatków" będzie obiektywna ? Czy otrzymamy kolejną potężną michnikową gębę, która dołączy do chóru wszystkich mediów "głównego nurtu". Mieliśmy już w III RP jednolity przekaz medialny. Czy wówczas telewizję "dało się oglądać" ?

Pomijając już wszystkich, którzy rodzinnie i niejako "systemowo" nie znoszą "kaczyzmu" (w samej Warszawie jest 400 tys. "Mazgułów"), nawet ludzie dalecy od sympatyzowania z komunizmem, surowo recenzują rząd. Znamy te utyskiwania: " Rząd jest słaby i sobie nie radzi." "Bo trzeba rządzić mądrze, a nie głupio." " Nie zrobiono tego, nie ruszono owego, to się wali, a tamto leży." "Ponadto przedsiębiorcy są niszczeni i szaleje drożyzna". Oczywiście, prawie nikt nie wierzy w przeznaczoną dla "zagranicy" bajerę o "łamaniu konstytucji", "niszczeniu demokracji", "dyktaturze" itp. Gdyby było inaczej- opozycja nie domagałaby się tak uporczywie wprowadzenia stanu wyjątkowego. Bo mieliśmy jedyną na świecie opozycję, która żądała stanu wyjątkowego- a przecież taki stan to nic przyjemnego dla opozycji. Nasi "totalsi" mogliby się o tym dowiedzieć choćby od kolegów – opozycjonistów w Turcji.

I Rzeczpospolita upadała przez 100 lat, później 5 pokoleń walczyło o jej odtworzenie. Dziś możemy państwo zniszczyć błyskawicznie jedną nierozsądną decyzją wyborczą powierzając władzę zwolennikom "rozproszonego przywództwa lokalnego".

Możliwe, że rząd jest zły (lub bardzo zły), ale jest polski. Powinniśmy cenić rząd i państwo polskie nawet, jak jest ono z "dykty". Niezbyt wielu Polaków w ostatnich 300 latach miało szczęście posiadać choćby słaby, ale polski rząd. W 2015 roku prof. Andrzej Nowak mówił: *"Nie ma wątpliwości, że w ostatnich 25 latach politykiem najbardziej upominającym się o państwo polskie, o potrzebę jego umocnienia, unowocześnienia i odbudowę był Jarosław Kaczyński".*

I to jest prawda.

Jan Martini

Żaden historyk nie napotyka tak wielu trudności jak ten, który zamierza odtworzyć życiorys szpiega. Zaledwie uczyni pierwszy krok, a już pojawiają się białe plamy, mylne tropy, fałszywe ślady. Politycy czy aktorzy zostawiają po sobie często pamiętniki, w których odnaleźć można informacje o ich czynach, zwycięstwach i przewagach, a czasami nawet i o ciemnych machinacjach czy sromotnych klęskach. Pracownicy wywiadu rzadko zostawiają po sobie wspomnienia, szczególnie ci, którzy nakryci podczas działalności stają przed lufami plutonu egzekucyjnego, czy zwisającym z góry konopnym sznurem. Właściwie ideał doskonałego agenta polega na pozostawaniu niewidocznym dla innych, chociaż ślady jego działania przypominają czasem spustoszenia dokonane przez tornado. Mathilde Lily Belard, bo tak brzmiało nazwisko panieńskie późniejszej pani Carré, pisała jednak pamiętnik, co w działalności szpiegowskiej jest zwykle błędem niewybaczalnym. Ale dzięki temu wiemy przynajmniej coś niecoś o jej prywatnym życiu.

***

Urodziła się u schyłku *la belle epoque*, dokładnie 30 czerwca 1909 roku w miejscowości Le Creusot we Francji, w regionie Burgundia, w departamencie Saony i Loary. Rozpieszczona córka bogatego przemysłowca, po ukończeniu szkoły średniej wstąpiła na wydział literatury Uniwersytetu Paryskiego. Pragnąc uwolnić się spod kłopotliwej kontroli surowego ojca wyszła w wieku lat 23 za mąż za oficera piechoty, pana Jeana-Maurice'a Carré, którego wkrótce skierowano do Algierii. Mathilde wyjechała oczywiście razem z nim.

Sześcioletni pobyt w Afryce był dla niej jednym pasmem udręk; niekochany i zazdrosny *monsieur* Carré, brak odpowiedniego towarzystwa i nuda doprowadzały ją do skrajnej rozpaczy. Kapitan armii francuskiej nie otrzymywał wcale wysokiego żołdu, Mathilde więc, częściowo z braku pieniędzy, częściowo

MATHILDE CARRÉ
(1909 - 2007)

zaś z chęci działania, podjęła pracę jako nauczycielka. Nienawidziła tej pracy z całej duszy, podobnie jak algierskiej pustyni, burz piaskowych, wiecznego upału i moskitów. Marzyło jej się, by mąż został wreszcie przeniesiony z powrotem do Francji, a najlepiej do Paryża. Oczami wyobraźni widziała się jak pięknie wystrojona spaceruje po Monmartrze, przyciągając wzrok przechodzących obok mężczyzn. Mathilde Carré była kobietą o smagłej twarzy i ogromnych zielonych oczach. Miała czarne, długie włosy, bielusieńkie, silne zęby i szerokie, zmysłowe usta. Tymczasem jednak o powrocie do kraju nie było nawet mowy i jej uroda wysychała pod palącymi promieniami afrykańskiego słońca.

We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. I to, co dla całego świata było powodem tragedii, dla Mathilde stało się wyzwoleniem. Tego samego dnia, kiedy mąż popłynął do Europy bronić Francji, ona wyjechała do Algieru, oczekując również na transport do ojczyzny.

- Teraz dopiero zaczęłam żyć! – napisała w swoim pamiętniku, uwolniona od małżonka.

Zaczyna chodzić do teatru, na spacery, pije kawę w najbardziej eleganckich lokalach, oddycha pełną piersią zadowolona z siebie. Pewnego wieczoru, kiedy siedząc na ławce w Kasbie myślała o Paryżu, poderwał ja przystojny francuski spadochroniarz. Podczas gdy Mathilde zaznawała rozkoszy w ramionach kochanka, jej ślubnego przecięła seria z karabinu maszynowego w chwilę po wejściu do walki. Świeża wdowa pani Carré i spadochroniarz popłynęli razem do Havru, gdzie ich drogi rozeszły się raz na zawsze.

W zagrożonym przez armię niemiecką Paryżu w Mathilde obudziły się patriotyczne uczucia. W jednym ze szpitali zaczęła pracę jako pielęgniarka. Tymczasem 11 czerwca 1940 roku armia francuska wycofała się znad Marny, odsłaniając drogę do stolicy. Trzy dni później Hitlerowcy wkroczyli do Paryża, w którym nawet nie zdołano zniszczyć na czas archiwów Sztabu Generalnego i Dèuxieme Bureau – francuskiego wywiadu. 16 czerwca generał Charles de Gaulle przeniósł się do Londynu, a 21 czerwca marszałek Philippe Pétain utworzył haniebny rząd kolaboracyjny. Sława Francji przepadła. Jej patriotycznie nastawionym obywatelom pozostały tylko szeregi Resistance, albo armii organizowanej przez generała de Gaulle`a w koloniach w Afryce.

Mathilde, jak tysiące innych ludzi uciekła na południe kraju, najpierw do Beauvais, potem do Tuluzy, gdzie otworzyła punkt pomocy dla rannych żołnierzy. Tam poznała przystojnego kapitana lotnictwa. Nazywał się Roman Czerniawski. Po kapitulacji zajął się przerzutem ludzi przez hiszpańską granicę, a w niedługim czasie, przy pomocy kilku polskich i francuskich kolegów udało mu się uruchomić radiostację i nawiązać kontakt z Londynem. Utworzył siatkę wywiadowczą o kryptonimie F 2, która z czasem okrzepła i wzrosła w siłę, tworząc agendy na terenie całej okupowanej przez faszystów Francji. Organizacja otrzymała wtedy kryptonim „Interalliee".

Kapitan Czerniawski wciągnął do

Ciąg dalszy na stronie 12

Drapieżna kotka

(ciąg dalszy ze strony 11)

konspiracyjnej roboty Mathilde Carré. Francuzka zgodziła się bez wahania, zarówno dlatego, że znalazła wreszcie dla siebie interesujące zajęcie, jak również z powodu przekształcenia się istniejącej dotychczas pomiędzy nią a czarującym Polakiem nici sympatii w gorącą miłość.

Znaczenie organizacji ciągle wzrastało. Dzięki „Interalliee" napływała stale z Anglii duża ilość uzbrojenia i zaopatrzenia przeznaczonego dla ruchu oporu. Możliwe stało się zorganizowanie przerzutu ludzi do Szwajcarii i Hiszpanii – ludzi częstokroć bardzo ważnych, lub przenoszących cenne meldunki. Agenci siatki obserwowali najeźdźców i wydobywali od nich potrzebne informacje, które natychmiast dostarczano do Intelligence Service do Londynu, gdzie cieszyły się ogromnym uznaniem.

Bardziej jeszcze niż w przestworzach i oceanach Polacy zaznaczyli swój udział w tak zwanej cichej wojnie. Wywiad wojskowy, Oddział II Sztabu Naczelnego Wodza, oparty na przedwojennej doświadczonej kadrze, która niemal w całości znalazła się na wychodźstwie, stworzył z czasem, za brytyjskie pieniądze, imponującą strukturę obejmującą cały kontynent europejski i Afrykę Północną. Rozpięte poza Polską siatki liczyły 170 oficerów i 3500 agentów, z czego aż 1500 we Francji, stanowiącej bezpośredni cel przyszłej inwazji. Nader owocnie ekspozytura „dwójki", nastawiona bezpośrednio na Niemcy, funkcjonowała także w Sztokholmie (mjr Michał Rybikowski), a to dzięki współpracy z wywiadem japońskim (!). Szef wywiadu wojskowego, płk Stanisław Gano, szacował, że prace prowadzone na rzecz Brytyjczyków i Amerykanów, stanowiące około 70 procent ogólnego wysiłku, są bardzo poważnym wkładem polskich sił zbrojnych w całość działań wojennych. Nie było w tym megalomanii, podobne oceny bowiem wygłaszali szefowie tajnych służb brytyjskich i amerykańskich, co jednak nie przeszkodziło im po wojnie przyswoić sobie wiele udostępnionych materiałów i sobie przypisać zasług należnych Polakom.

Wkrótce kapitan, a właściwie już major Czerniawski przedostał się wraz ze swą kochanką do Vichy, gdzie Mathilde stała się jego niezastąpioną pomocnicą. Młoda i atrakcyjna, budziła sympatię mężczyzn, a to już prostą drogą prowadziło do wyciągania z nich cennych informacji. Były to jeszcze czasy, w których tajne wiadomości wydobywało się od nieprzyjaciela w kabarecie, podczas schadzki w parku, na balu wojskowym, między jednym a drugim kielichem szampana, przy dźwiękach upojnego tanga czy walca. Wywiad był rzeczą bardzo indywidualną i pozbawioną jeszcze – w dużym stopniu – przygotowania technicznego. Ładne nogi i aksamitny głos wystarczały często do zdobycia planów najbliższego ataku bądź informacji o szczegółach technicznych nowej armaty.

Mathilde Carré czuła się w swej roli znakomicie. Praca w wywiadzie wymagała pomysłowości, była urozmaicona i tak szalenie podniecająca. Nawiązała wiele kontaktów z oficerami wywiadu pétainowskiego, porobiła również potrzebne znajomości wśród najwyższych sfer Vichy i po każdorazowym pobycie w luksusowych hotelach przynosiła wprost nieocenione wiadomości wywiadowcze. Często tylko na ulicy ścigały ją nienawistne spojrzenia przechodniów, kiedy szła pod rękę z jakimś niemieckim oficerem, szczebiocząc wesoło i promiennie się do niego uśmiechając. Do domu wracała wtedy bardzo rozgoryczona, ale jeden uśmiech kochanka wystarczał, by „La Chatte" (Kotka) – jak zaczęto nazywać Mathilde - znów odzyskiwała równowagę. Kapitan Czerniawski zaś przyjął w tym czasie pseudonim „Armand".

Miała jednak urocza agentka i swój słaby punkt, który doprowadził ją niebawem do ruiny. Tym słabym punktem była chorobliwa zazdrość. Pewnego dnia, dla siatki zaczęła pracować dawna znajoma Czerniawskiego Renée Borni, pseudonim „Violette". Nie jest wiadome, czy pomiędzy nią a majorem nawiązał się romans, pewne jest natomiast, że Mathilde szczerze znienawidziła Renée, zresztą ze wzajemnością. Pomiędzy wymienioną trójką osób powstał bardzo niebezpieczny klimat. Niebawem „La Chatte" zażądała od „Armanda" usunięcia rywalki. Tu jednak napotkała na stanowczy opór Czerniawskiego.

- Nie uczynię tego – twardo odparł major. – Jest bardzo potrzebna naszej organizacji, a poza tym, czy wyobrażasz sobie, że w ogóle w pracy wywiadowczej można kogoś tak bardzo zaangażowanego po prostu oddalić? Czy zdajesz sobie sprawę, czym to by groziło ?

- Wobec tego ja odejdę ! – wykrzyknęła „Kotka". – Pomiędzy nami wszystko skończone !

- Nie, nie wszystko – wycedził chłodno major. – Będziesz nadal wykonywała te same obowiązki co do tej pory. Pamiętaj, że oboje jesteśmy żołnierzami, a jeśli spróbujesz o tym zapomnieć, nie cofnę się przed niczym.

Rozmowa ta zadecydowała o zerwaniu osobistych stosunków Czerniawskiego i Mathilde Carré. „Kotka" pracowała nadal w organizacji, ale jej nienawiść do „Violette" potęgowała się z każdym dniem. Nikt z czołówki „Interalliee" nie przeczuwał, że spór dwóch kobiet może przynieść tak opłakane skutki.

Na początku listopada 1941 roku, kiedy „Armand", Mathilde i Renée wrócili do Paryża, agenci Abwehry aresztowali jednego ze współpracowników siatki Raula Kiffera ps. „Kiki". Prowadzący śledztwo, szczwany pracownik niemieckiego wywiadu Hugo Bleicher, zdołał nakłonić go do współpracy.

Po zrzuceniu w 1918 roku munduru armii Cesarstwa Niemieckiego, Hugo Ernst Bleicher zajął się biznesem. Jednak biegła

Ciąg dalszy na stronie 13

Drapieżna kotka

(ciąg dalszy ze strony 12)

znajomość francuskiego i hiszpańskiego, w połączeniu z nieprzeciętną inteligencją, spowodowały, iż wkrótce został dostrzeżony przez niemiecki wywiad. Kiedy w 1940 roku pancerne zagony Guderiana zajęły Francję, Hugo Bleicher pojawił się nad Sekwaną jako pracownik Abwehry.

Niski mężczyzna, w ceratowym cywilnym płaszczu, okularach w grubej oprawie i czarnym bereciku, bardziej przypominał prowincjonalnego urzędnika niskiego szczebla, niż niemieckiego oficera. Jego niepozorny, nie wzbudzający podejrzeń wygląd okazał się wyjątkowym atutem, który ułatwił przeniknięcie w szeregi francuskiego ruchu oporu.
W krótkim czasie Hugo Bleicher stał się jednym z najskuteczniejszych oficerów niemieckiego kontrwywiadu, którego działalność przyniosła Aliantom niepowetowane szkody.

„Kiki" nie wiedział za wiele, ale sypnął kilka osób i tak po nitce do kłębka Bleicherowi udało się dotrzeć do „Armanda" i Renée Borni. 18 listopada obydwoje zostali aresztowani.

- Wiele o pani słyszałem – powiedział do „Violette" Hugo Bleicher myśląc, że ma do czynienia z „Kotką"

- Wiem, kto panu tyle o mnie naopowiadał – nie wytrzymała Renée. – Ta suka. Tylko ona mogła być tak podła!

Niemiec nadstawił uważniej ucha. Był zbyt doświadczonym wywiadowcą, by wypuścić taki trop. Umiejętnie podpuszczona Borni, przekonana święcie o tym, że swe aresztowanie zawdzięcza znienawidzonej rywalce, wydała w ręce Abwehry Mathilde Carré. Niebawem więc w ciemnej i brudnej celi przy ulicy Lauriston znalazła się także „La Chatte". Tu zaczęło się dla niej nowe życie. Z tego właśnie powodu została po latach uwięziona i skazana przez Francuzów na śmierć. Młoda i pełna życia Mathilde nie czuła się na siłach umrzeć bohaterską śmiercią za ojczyznę. Kochała życie nade wszystko. Chciała żyć za wszelką cenę. Dosłownie za wszelką cenę. Po kilku dniach pobytu w zimnej celi była już „gotowa". Otworzyły się drzwi i wszedł Hugo Bleicher.

- Wiem, że jest pani inteligentną kobietą – rozpoczął rozmowę.

Dalsza część tej dyskusji odbyła się już w komfortowej willi francuskiego aktora Harry'ego Baura, który wypożyczył ją Abwehrze. Odbyła się przy blasku świec i wykwintnej kolacji, dostarczonej z pobliskiej restauracji. Tego wieczoru „La Chatte" została kochanką Bleichera i współpracowniczką niemieckiego wywiadu.

Następnego dnia towarzyszyła Bleicherowi do miejsc, gdzie ukrywało się 35 członków Resistance. W ciągu jednego dnia została zlikwidowana potężna siatka, na zorganizowanie której potrzeba było dwóch lat cierpliwej i niebezpiecznej pracy. Carré posunęła się w swoim zdradzieckim procederze jeszcze dalej i przez kilka następnych tygodni działała w strukturach ruchu oporu, zbierając dalsze informacje. Obmyślanie perfidnych pułapek na swych niedawnych towarzyszy broni poczęło ją powoli pasjonować. Stała się wkrótce prawdziwym dzikim zwierzęciem, grasującym w dżungli okupowanego Paryża. Pewnego dnia doznała szoku spotykając się z Renée Borni, która w końcu także zdecydowała się przenieść z więziennej pryczy na wygodne łóżko. Stary konflikt odżył na nowo, tym razem po drugiej stronie niewidzialnego frontu. Nie trwał jednak długo.

Mathilde została wysłana przez Bleichera do Londynu. Umieszczona w War Office (brytyjskim ministerstwie wojny), przez dziewięć miesięcy przesyłała Abwehrze za pośrednictwem „Violette" uzyskane tam wiadomości. A miała niestety dostęp do wielu informacji, które miały być wykorzystane przeciwko Niemcom, lecz dzięki niej posłużyły do gnębienia francuskich patriotów.

Niemcy zapragnęli pozyskać dla siebie również „Armanda". W tym celu pułkownik Oskar Reile, szef Abwehry w Paryżu, odwiedzał go w więzieniu, próbując współpracę w zamian za bezpieczeństwo aresztowanych 64 członków sieci. Czerniawski postawił trzy warunki:

1. Jego agenci będą traktowani na prawach jeńców wojennych i przeżyją wojnę w obozie jenieckim;

2. Niemcy nie będą iść jego śladem, by nie natknąć się na polskie podziemie, z którym „Armand" chce nawiązać kontakt;

3. Ewentualne osiągnięcia „Armanda" w Wielkiej Brytanii odbiją się w sposób zasadniczy na korzyść Polski po wojnie.

Po uzyskaniu zgody admirała Wilhelma Canarisa na powyższe warunki, Reile opracował plan ucieczki „Armanda". 14 lipca 1942 roku, w czasie konwoju z więzienia Fresnes do Paryża, więzień prysnął w czasie upozorowanego wypadku samochodowego na Avenue Foch. Tym więźniem nie był jednak Roman Czerniawski, lecz zupełnie inny człowiek podstawiony przez Niemców, którzy obawiali się że podczas zamieszania ktoś może strzelić do ich cennego agenta. Major natomiast dotarł samolotem do Madrytu, gdzie udał się do polskiej ambasady, która zorganizowała przerzut przez Gibraltar do Londynu.

Pierwsze, co zrobił po przybyciu na miejsce, to poprosił o rozmowę z pułkownikiem Stanisławem Gano, szefem Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza; uważanym za jednego z autorów sukcesów tej służby, któremu opowiedział szczerze całą historię.

- Ani przez chwilę nie miałem zamiaru dotrzymać umowy z Canarisem – oświadczył. – Zdaję sobie jednak sprawę, jakimi to grozi konsekwencjami, zwłaszcza dla uwięzionych współpracowników z „Interallie". Chciałbym, aby włączył mnie pan do

Ciąg dalszy na stronie 14

Drapieżna kotka

(ciąg dalszy ze strony 13)

wielkiej gry – dodał na koniec.

Wkrótce został zatrudniony w Sztabie Naczelnego Wodza. Później Brytyjczycy z Komitety Dwudziestu", początkowo bardzo nieufni, mianowali go oficerem łącznikowym przy sztabie generała Omara Bradley'a, a następnie generała Dwighta Eisenhowera. Bywał na wszystkich przyjęciach, żeby szpiedzy niemieccy mogli potwierdzić jego znajomości.

„Komitet Dwudziestu" wziął Czerniawskiego pod swoją opiekę i zgodził się na ustalony z Niemcami pseudonim. Z polskiej strony o jego podwójnej grze wiedzieli tylko pułkownik Gano i generał Władysław Sikorski. Tak narodził się „Brutus", człowiek, który – jak napisał po wojnie członek „Komitetu Dwudziestu", John Mastermann – „był ogromnie ważną dla nas zdobyczą".

„Komitet Dwudziestu" (ang. Twenty Committee), a właściwie „Komitet XX" – niewielki, wydzielony zespół pracowników wywiadu, stworzony już w pierwszych dniach z inicjatywy Winstona Churchilla, którego zadaniem było wprowadzanie w błąd wroga oraz wychwytywanie agentów niemieckiego wywiadu i „przekręcanie" ich na stronę aliantów. Skupiał wielu wybitnych specjalistów z różnych dziedzin, m. in. oficerów Inteligence Service. Na jego czele stał kmdr por. Ewen Montagu, oficer wywiadu marynarki. XX (iks-iks) było kryptonimowym określeniem każdego podwójnego agenta, często znów interpretowane – z niemałą dozą makabrycznego humoru – jako „podwójny krzyż". Ujawnione po wojnie dokumenty „Komitetu XX" stanowią do dziś nieocenione źródło dla literatury fachowej, a także... sensacyjnej.

Kontakt z Abwehrą „Brutus" nawiązał dopiero w styczniu 1943 roku, kiedy Anglicy przekonali się w końcu o jego pełnej lojalności i pozwolili mu uruchomić radiostację nadawczo – odbiorczą, dostarczoną przez jakiegoś niemieckiego agenta. Z dokumentów niemieckiego wywiadu przejętych po wojnie przez aliantów wynika, że pierwsze meldunki Czerniawskiego oceniono dość sceptycznie. Najwięcej zastrzeżeń miał sam Oskar Reile – twórca „Brutusa". Twierdził, że bystrego polskiego oficera stać na znacznie więcej, niż daje. Postawił nawet hipotezę o „przekręceniu" go przez Anglików. Kiedy jednak odesłał meldunki „Brutusa" do Berlina, gremiów najwyżej postawionych speców uznało je za niezwykle interesujące i poleciło utrzymywać z Czerniawskim łączność tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Tym sposobem aż do zakończenia wojny podwójny – a właściwie potrójny – agent przesyłał meldunki radiowe preparowane przez „Komitet Dwudziestu". Pułkownik Reile w swoich wspomnieniach napisał, że Berlin wierzył „Brutusowi" i nie zwątpił w niego do końca wojny.

Roman Czerniawski odegrał poważną rolę w przygotowywanej inwazji sił alianckich na kontynent. Kryptonim tej operacji brzmiał „Fortitude" albo „Bodyguard", a miała ona na celu zmylenie niemieckiego wywiadu. Stworzono fikcyjne wielkie jednostki, które prowadziły między sobą łączność radiową. Był to jeden z największych sukcesów alianckich na „tajnym froncie".

„Brutus" w swoich depeszach podawał, że inwazja nastąpi w Normandii, ale wymieniał datę późniejszą o sześć tygodni, w związku z czym generał Erwin Rommel wyjechał w decydującym momencie na urlop. Informował również, że po pierwszym lądowaniu nastąpi drugie, główne, w rejonie Pas-de-Calais, w co święcie wierzył Hitler i nie zgodził się na utworzenie grup odwodowych. Swoje niezgodności w raportach Czerniawski tłumaczył tarciami wśród aliantów oraz przeniesieniem do lotnictwa. Po przekroczeniu przez wojska sprzymierzonych Renu nadał ostatnią, pożegnalną depeszę.

W lipcu 1942 roku Carré została w końcu zatrzymana przez funkcjonariuszy Scotland Yardu. Po zakończeniu wojny przekazano ją władzom francuskim.

Jej proces rozpoczął się w styczniu 1949 roku. Madame Carré siedziała podczas jego trwanie z kamienną twarzą, na której nie uwidaczniały się żadne uczucia. Raz tylko straciła panowanie nad nerwami i zerwała się gwałtownie z miejsca, kiedy wymieniono nazwisko Hugo Bleichera.

- Oczekuję spokojnie każdego wyroku – krzyknęła ze łzami w oczach – Ale nie zapominajcie, że w chwili, gdy żądacie dla mnie kary śmierci, ten bandyta żyje na wolności w Hamburgu.

„Jeżeli przegramy tę wojnę, to niech Bóg ma nad Niemcami litość" – powiedział pewnego razu Hermann Göring.

I Bóg miał litość. Nic nie wskazywało natomiast, by zamierzał litować się nad „Kotką":

- Sąd skazuje Mathilde Carré, znaną pod pseudonimem „La Chatte", na najwyższą karę: umrze pod gilotyną – zabrzmiały słowa wyroku, wygłoszone przez sędziego dnia 8 listopada 1949 roku.

Mathilde z trudem utrzymywała się na nogach. Już niedługo trzeba było umrzeć, a miała dopiero 40 lat...

Jednak na początku następnego roku prezydent Republiki Francuskiej Vincent Auriol skorzystał z prawa łaski, zamieniając karę śmierci na dożywotnie pozbawienie wolności. Cztery lata później wypuszczono ją na wolność. Dalsze losy Mathilde Carré pseudonim „Kotka" nie są dokładnie znane. Wiadomo tylko, że pod koniec lat pięćdziesiątych opisała swoje życie w pamiętnikach zatytułowanych *On m'appelait la Chatte* (Nazywano mnie Kotką). Zmarła 30 maja 2007 roku, przeżywszy prawie sto lat.

Hugo Bleicher, wraz z dwoma innymi

Dokończenie na stronie 15

Wystarczy ruszyć, a cuchnie….

Istnienie takich przybytków jak Zatoka Sztuki było i jest tajemnicą poliszynela. Wiadomo też, że nie nawiedza ich kowalski, a bywają one miejscami uciech tzw. celebrytów. Tak zwanych, gdyż słowo to ma zastosowanie najczęściej do osób szczególnie prymitywnych; po prostu w taki czy inny sposób wylansowanych, nie zawsze potrafiących ukryć tę przysłowiową słomę w butach. Otóż tak zdefiniowany celebryta może dobrze się czuć w miejscu dowcipnie nazwanym Zatoką Sztuki. W jednym z komentarzy czytałem, że sama ta nazwa jest już manifestacją odrażającego cynizmu. Wszystko jednak zależy od tego, co rozumiemy pod słowem „sztuka"? Uprawianą w sopockim lokalu o tej nazwie można też nazwach inaczej, stosowniej do jego istoty. Przecież perwersja, różnego rodzaju zboczenia to też sztuka, tyle, że daleka od wzorców wartości humanistycznych, a bliska deprawacji.

Film Sylwestra Latkowskiego to przysłowiowy kij w … oczywiście nie mrowisko, ale w substancję, która poruszona wydaje odrażającą woń; cuchnie. Autor operuje nazwiskami. Oczywiście to wymaga dowodów. Może niektórzy wymienieni upomną się o dobre imię. Ale istota tego filmu nie polega na oskarżeniach, lecz na brutalnym monicie skierowanym pod adresem władz, mającym zmusić je do bezwzględnego ścigania nadużyć w dziedzinie seksualnej, zwłaszcza deprawujących i krzywdzących nieletnich.

Ktoś może zapytać, czy dotąd jest to bezkarne ? Zależy kiedy i wobec kogo. W tej chwili pod lupę brani są tylko duchowni i to z zastosowaniem szalbierczej metody pars pro toto. Taką wymowę mają filmy Siekielskich, czy Kler. Dają one oparcie dyfamacji stanu duchownego, Kościoła, religii i wszystkiego, co z tym się wiąże. Z kolei zaatakowani zostali celebryci. Pół biedy, gdyż od tak nazwanej grupy społecznej można się odciąć, pod warunkiem, że ktoś zdoła pokonać własną próżność i uruchomić rozum.

Dysputa na temat filmu, a zwłaszcza poruszonego w nim problemu jest niemrawa. Widać, że jedni się boją sprawę tę ruszać, inni być może czekają na ciąg dalszy, bo powinien on nastąpić. Już nie w postaci publicystycznej, ale prokuratorskiej. Dla zilustrowania tego, co się na ten temat mówi kilka tekstów:

Niezależna.pl

"Po emisji filmu Sylwestra Latkowskiego "Nic się nie stało" w świecie celebrytów zawrzało. Wymienieni z nazwiska odnoszą się do apelu twórcy filmu o "łowcy nastolatek" i tego, co działo się w sopockiej Zatoce Sztuki. Kuba Wojewódzki już wczoraj zapowiedział proces, sprostowania natomiast oczekuje Radosław Majdan. Do sprawy odniosła się również Natalia Siwiec, której zdjęcie pojawiło się w filmie, jako przykład jednej z wielu gwiazd bywających w Zatoce."

W środę wieczorem TVP wyemitowała film Sylwestra Latkowskiego "Nic się nie stało", w którym opisano kulisy działania Krystiana W., ps. Krystek określanego przez media "łowcą nastolatek", a także sopockiej Zatoki Sztuki, gdzie dochodzić miało do molestowania młodych dziewczyn i gdzie bywali celebryci.

Latkowski operuje nazwiskami, co musiało wywołać reakcję osób wymienionych.

Niezależna.pl

W środę wieczorem TVP wyemitowała film Sylwestra Latkowskiego „Nic się nie stało", w którym opisano kulisy działania Krystiana W., ps. Krystek określanego przez media „łowcą nastolatek". Latkowski przywołał zeznania nastolatek,

Ci ag dalszy na stronie 16

Drapieżna kotka

(dokończenie)

francuskimi agentami Abwehry, Jean'em Rocquefortem i Francoise'em Barbierem został 15 maja 1945 roku aresztowany w Amsterdamie przez pracowników holenderskiego wywiadu. Po dwutygodniowym przesłuchaniu Holendrzy przekazali go Anglikom z MI5, którym chętnie opowiedział wszystko, co wiedział. Po odzyskaniu wolności zamieszkał w Hamburgu, gdzie w 1954 roku opublikował swoje pamiętniki - *Colonel Henri's story*. Zmarł we wrześniu 1982 roku.

Z dokumentacji dotyczącej działalności „Brutusa" zachowało się niewiele, gdyż po wojnie zostały spalone. Czerniawski, awansowany do stopnia pułkownika został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari (nr 9238). Po wojnie pozostał na emigracji. Nie mówił o sobie dużo, żył bardzo skromnie prowadząc małą księgarnię.

Za swoją wywiadowczą grę zapłacił wysoką cenę, traktowany przez niewtajemniczone środowiska polskie w Wielkiej Brytanii jako tchórz unikający bojowej służby w lotnictwie, bądź jako agent gestapo, w związku z niejasnymi okolicznościami jego ucieczki z Francji. Publicznie taki zarzut postawili mu były zastępca szefa Sztabu Naczelnego Wodza do spraw lotnictwa pułkownik Tadeusz Rolski we wspomnieniach *Uwaga, wszystkie samoloty !* [Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1959] oraz Franciszek Kalinowski (w wydanej w Paryżu w 1969 roku książce *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii 1940-1945*. Jego prawdziwa rola została w pełni ujawniona dopiero w latach siedemdziesiątych.

Zmarł 26 kwietnia 1985 roku w Londynie. Pochowano go na polskim cmentarzu w Newark.

Przemysław Słowiński

Wystarczy ruszyć, a cuchnie….

(ciąg dalszy ze strony 15)

które opisywały gwałty i molestowanie i opisywał działanie sopockiej Zatoki Sztuki, gdzie dochodzić miało do molestowania młodych dziewczyn i gdzie bywali celebryci. W tym kontekście Joachim Brudziński zwrócił uwagę, że „mówienie w kontekście pedofilii o celebrytach, artystach, dziennikarzach, politykach czy księżach to czysty eufemizm".

Śledztwo ws. „Krystka" ruszyło 2015 roku, gdy 14-letnia Anaid z Gdańska rzuciła się pod pociąg. Zrobiła to po tym, jak wyznała koleżance, że została zgwałcona.

W wyniku śledztwa okazało się, że „Krystek" wielokrotnie zaczepiał nieletnie dziewczyny, a niektóre gwałcił. Wyszło też na jaw, że działał bezkarnie przez wiele lat na terenie Trójmiasta - głównie w sopockim lokalu "Zatoka Sztuki" - ale też Pucka, Wejherowa i Władysławowa.

Wojewódzki zapowiada proces !

Do Sylwestra Latkowskiego zwraca się w następujących słowach:

Naraziłeś na publiczny lincz zarówno mnie jak i tych których kocham. W imię bezlitosnej propagandy i odwetu. Dla mnie jesteś płatnym medialnym zabójcą.

„Twój mecenas Jacek Kurski nie ukrywał, że wasz film ma być odpowiedzią na kino Braci Sekielskich. Zaiste prawi z was chrześcijanie. Jeśli tak ratujecie Polski Kościół to jestem ciekaw jak ratować będziecie siebie. Bo ja nie powiem – Nic się nie stało. Idę z tobą i TVP do sądu. Postaram się wyrwać z 2 miliardów złotych dotacji dla tak zwanej telewizji publicznej tyle ile się da. Dla tych, którzy potrafią wykorzystać te pieniądze w imię miłości i pomocy innym..

"W sposób haniebny i kłamliwy starałeś się wmieszać zarówno mnie jak i bliską mi osobę w brutalną aferę kryminalną Zatoki Sztuki. ***Próba przekonania świata, że bywając tam stawałem się uczestnikiem tamtejszych patologii tudzież ich cichym wspólnikiem to absurd i zwykłe przestępstwo.*** *Przez lata bywałem też w budynkach TVP1, co nie czyni ze mnie waszego wspólnika, kłamcy, lokaja władzy czy aferzysty".*

Są też głosy mniej zdecydowane niż to co pisze Wojewódzki:

Andrzej Hrechorowicz

To 14-15 letnie dziewczynki, dzieci(!), często z biednych rodzin, dysfunkcyjnych, które łatwo omotać, grać na emocjach, szantażować, manipulować, straszyć.

Ewa Zajączkowska-Hernik

Ktoś te dziewczyny siłą zaciągał do klubu, wlewał drinki do gardła, kazał umawiać się ze starszymi facetami i pożyczać od nich pieniądze?

Joachim Brudziński zareagował również na wymianę zdań pomiędzy dziennikarką Ewą Zajączkowską-Hernik oraz Andrzejem Hrechorowiczem

Brudziński stwierdził, że próba przenoszenia winy na ofiary pedofilii powinna zostać nazwana wprost „obrzydliwością".

Tak jakbym słyszał Stalińską broniącą Polańskiego, w TVN kiedy mówiła, że 13-latki same pchają się do łóżka facetom. Dla mnie, tak samo obrzydliwi jak sam pedofil, są ci którzy chcąc się przypodobać zboczonym celebrytom winią ich ofiary.

Joachim Brudziński

Mówienie w kontekście pedofili o celebrytach, artystach, dziennikarzach, politykach czy księżach to czysty eufemizm. To zboczone świnie są a nie żadni artyści, Szczytem hipokryzji jest piętnowanie pedofili w kościele a relatywizowanie tych zboczeńców w innych środowiskach .

Po emisji filmu wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik zapowiedział w TVP, że w Prokuraturze Krajowej powstanie specjalny zespół śledczych do wyjaśnienia wątpliwości pokazanych w dokumencie.

Po filmie Latkowskiego "Nic się nie stało" Ziobro powoła specjalny zespół prokuratorów

Podsumowując, trzeba powiedzieć, że film Latkowskiego wyda dopiero wtedy owoce, kiedy tak, jak zapowiedzieli wiceminister Wójcik i minister Ziobro, spowoduje on dochodzenia i procesy karne. Jak dotąd dotknęło to, i to wcale nie nazbyt boleśnie, jednego alfonsa. Ponieważ bezpodstawnie o winie niczyjej nie można orzekać, z wyjątkiem może duchownych, jedynie ściganie przestępstw nie tylko pedofilskich, ale w ogóle nadużyć seksualnych poprzez zniewolenie ofiar, bez względu na ich wiek, może sprawić, ze film zaowocował. Oczywiście kara nie może ominąć nikogo. Niby jest to oczywiste, ale, jak dotąd celebryta nie posiedział, a często ofiarę jego wybryku uznano za winną, n. p. tego, ze weszła na pasach na jezdnię i zakłóciła podróżowanie komuś bez prawa jazdy, przeglądu samochodu lub innych okoliczności działających, o dziwo, na jego a nie ofiary korzyść. Taka jest rzeczywistość. I pytanie, czy będzie można ją zmienić pozostanie w zawieszeniu, dopóki odpowiedzialność nie obejmie także tych, którzy uważają się za lepszych od ogółu.

Inna kwestia ogromnie ważna i z reguły spychana na margines. Gdy chodzi o przypadek owej Zatoki Sztuki, to faktem bezspornym jest zwabienie

Dokończenie na stronie 17

Komunizm, faszyzm, sodomizm i gomoryzm

Niezależne media głównego nurtu, wśród których na plan pierwszy wybijają się stacje telewizyjne; z jednej strony rządowa, a z drugiej – nierządna, oddały się bez reszty w służbę propagandy. To zresztą nic nowego; tak było już od dawna, to znaczy – od samego początku istnienia telewizji w naszym nieszczęśliwym kraju, z tym jednak, że kiedyś, oprócz propagandy, była tam i publicystyka. Tak było jeszcze na początku transformacji ustrojowej, kiedy w rządowej telewizji pani Anna Grzeszczuk-Gałązka i pani Michalska prowadziły program publicystyczny pod tytułem „100 pytań do". Do udziału w tych programach zapraszani byli dziennikarze o różnych, przeciwstawnych poglądach, dzięki czemu programy były ciekawe, bo każdy z uczestników w swoich pytaniach zwracał uwagę na co innego i niejako zmuszał głównego gościa do odpowiadania na różne, również niewygodne pytania. Taki zresztą jest cel wywiadów i tego rodzaju programów; chodzi o to, by wydobyć z zaproszonego gościa, co on naprawdę myśli, jakie naprawdę ma poglądy. Pamiętam audycję "100 pytań do" z udziałem Józefa Oleksego, który wtedy był posłem z Białej Podlaskiej, gdzie za komuny był pierwszym sekretarzem tamtejszego komitetu wojewódzkiego PZPR. Poseł Oleksy bardzo sugestywnie opowiadał, czego on tam nie dokonał dla dobra regionu i jego mieszkańców, a zwłaszcza – o utworzonej z jego inicjatywy specjalnej strefie ekonomicznej, która przyniosła wiele dobrego i regionowi i mieszkańcom. Kiedy przyszła moja kolej na zadanie pytania, zapytałem posła, czy ta strefa ekonomiczna jest duża, czy mała. Poseł Oleksy powiedział, że raczej mała. Zapytałem wtedy, czy gdyby była większa, to te dobroczynne skutki, o których nam opowiadał, wystąpiłyby na większym obszarze i objęłyby większą liczbę obywateli. Poseł się zgodził, więc zapytałem, co by było, gdyby ta strefa była jeszcze większa; czy te skutki objęłyby... - i tak dalej. Poseł Oleksy się zgodził, ale już z pewnym wahaniem, więc na koniec zapytałem, że skoro mała strefa ekonomiczna przynosi takie dobre rezultaty, to dlaczego panowie nie zastosujecie obowiązujących tam zasad na terenie całego kraju? Poseł Oleksy udzielił mi odpowiedzi wymijającej: pana to zawsze takie dowcipy się trzymają !

Niestety wkrótce na stanowisko gwiazdy telewizyjnej dostała się pani red. Monika Olejnik, która zapoczątkowała całkiem inny styl dziennikarstwa. Nadal zapraszała gości, ale nie po to, by czegoś się od nich dowiedzieć, tylko po to, by pokazać widzom i słuchaczom, że zaproszony gość jest od niej głupszy, a w ogóle to szuja. Przypominało to przesłuchania w bezpiece, bo pani red. Olejnik często sztorcowała swoich gości, kiedy udzielali odpowiedzi nieprawidłowych. Oczywiście nie wszystkich, bo wobec np. takiego prof. Bronisława Geremka, była cicha i pokornego serca. I tak - zgodnie z prawem Kopernika-Greshama, że pieniądz gorszy wypiera z obiegu pieniądz lepszy - styl zaprowadzony przez panią red. Olejnik zaczął się upowszechniać wśród innych adeptów żurnalistyki, zwłaszcza mniej utalentowanych. W tej chwili chyba jedyną osobą, która uprawia swoje rzemiosło w dawnym, dobrym stylu, jest pani red. Dorota Gawryluk z Polsatu. Mówię to bezinteresownie, bo pani Gawryluk nigdy nie zaprosiła mnie do studia, więc wypowiadam się wyłącznie z pozycji widza. Natomiast audycje prowadzone przez innych, bardziej przypominają przesłuchania w UB, niż wywiady. Właśnie dlatego, kiedy któregoś razu asystent pani red. Olejnik zadzwonił do mnie z zaproszeniem do programu, powiedziałem, że chętnie przyjdę, ale muszę dostać wezwanie na piśmie z numerem sprawy i zaznaczeniem, w jakim charakterze mam

Dokończenie na stronie 18

Wystarczy ruszyć, a cuchnie….

(dokończenie)

kilkadziesiąt młodocianych dziewcząt, zapewne nie w celu poczęstowania ich lodami. Co i z kim one tam robiły, to jest zadanie śledztwa. Jednak nie można pominąć pytania, jak one się tam znalazły? „Złowienie" ich przez alfonsa niczego nie wyjaśnia. Pozostaje pytanie jak to się stało, że właśnie te a nie inne znalazły się w Zatoce? To jest pytanie skierowane do rodziców, wychowawców, do władz mających obowiązek obserwowania takich miejsc. Wprawdzie demokracja rozumiana jako skrajny permisywizm i lansowana przez libertyńskie i lewicowe gremia, obecnie cieszące się płaszczem ochronnym wielu władz i instytucji publicznych, takim nadużyciom sprzyja. Nie myślmy, że takie teorie jak gender czy homolesbizm działają na pustych obrotach. Relatywizm moralny nigdy nie pozostaje bezkarny. I to nie Bóg człowieka karze, ale on sam siebie, bo człowieczeństwa sam sobie nie stworzył, ale zostało mu ono powierzone i musi z niego się rozliczyć, nawet jeśli tak żyje, jak gdyby nigdy do tego dojść nie miało.

Tak więc film Latkowskiego, który pewni celebryci już zdążyli przeznaczyć do śmieci ma przesłania i to nie jedno. Wszystko zależy od tego, czy społeczeństwo i władza potraktują je poważnie i czy wreszcie okaże się, że cela więzienna to locum właściwe dla każdego, także dla tych, którzy zawłaszczyli sobie immunitet i usiłują stanąć ponad prawem i jakąkolwiek normą moralną.

Zygmunt Zieliński.

All Lives Matter

(dokończenie)

przemówieniem wykazał całą obłudę hasła, którym Antifa i jej mocodawca czy mocodawcy starają się manipulować czarnoskórymi obywatelami USA ale także innych krajów. Celem jest wielka, globalna rebelia, która zniesie cywilizację chrześcijańską.

Każda rebelia (nazywana eufemistycznie rewolucją) dąży przede wszystkim do zmiany całej historii ludzkości, bez względu na dokonania przeszłości. Chaos to najlepsza metoda. Tak jak w II połowie XVIII wieku burzono klasztory i kościoły we Francji, a ponad 100 lat później obiekty sakralne w Rosji. Zniszczono lub zdewastowano też wiele innych zabytkowych budowli i rozgrabiono co było do rozgrabienia. Likwidowano na potegę wszelkie siły porządkowe, by zastąpić je różnymi „milicjami ludowymi" czy „obywatelskimi", złożonymi przeważnie z podejrzanych elementów. Istniejącą policję pozbawia się funduszy. Oczywiście za tym idzie zmniejszanie uposażeń i powodowanie zagrożenia dla funkcjonariuszy. Zresztą, nie mogą oni nawet interweniować, by od razu nie domagano się ich ukarania za rzekome naduzycie siły.

Niszczy się to, co powstało dzięki cywilizacji chrześcijańskiej. Prócz dewastacji i usuwania pomników prezydentów USA powszechne jest usuwanie pomników misjonarzy, którzy krzewili Ewangelię. Tak więc atak pod pretekstem rzekomej obrony czarnych stał się jawnym atakiem na chrześcijaństwo, kulturę i wartości. Takim aktom barbarzyństwa przeciwstawiają się nawet sami czarnoskórzy obywatele USA. Jednakże w każdym narodzie istnieje tzw. motłoch, który można łatwo sprowokować. Ukryty rasizm działan jest dla każdego oczywisty.

Remigiusz Ostrowski

Komunizm, faszyzm, sodomizm i gomoryzm

(dokończenie)

zostać przesłuchany: czy świadka, czy podejrzanego. Razwiedka nie razwiedka – porządek musi być! Oczywiście na tym się rozmowa skończyła i ja już więcej do TVN nie byłem zapraszany. Mam nadzieję, że tak już zostanie, bo w zasadzie nie odwiedzam do..., to znaczy pardon – oczywiście miejsc publicznych.

Inni jednak nie są tacy konsekwentni i w związku z tym spotykają ich tam rozmaite niespodzianki. Oto pani *„Kasia"* Kolenda-Zaleska, zaprosiła była do studia Wielce Czcigodnego posła Żalka, którego postanowiła przesłuchać na okoliczność sodomizmu i gomoryzmu, z niewiadomych powodów określanych skrótem *„LGBT",* Nawet nie wiem, co to znaczy, bo znacznie ważniejsza wydaje mi się okoliczność, że sodomia i gomoria przestały być intymnymi sposobami spółkowania, tylko awansowały do rangi centralnej kwestii politycznej. Ciekawe, że spółkowanie między osobnikami różnej płci nigdy nie dostąpiło takiego zaszczytu, ale bo też żaden normalny człowiek nie będzie wołał na ulicy: słuchajcie, właśnie przeleciałem ładną, niewinną panienkę, na którą – jak pamiętamy z Kabaretu Starszych Panów – dobra jest piosenka. Znam tylko jednego jegomościa, który przechwalał się swoimi podbojami z estrady: *„Baśka miała fajny biust... - i tak dalej"* - ale regułą jest utrzymywanie w takich sprawach dyskrecji. Tymczasem sodomici i gomoryci urządzają festiwale *„dumy gejowskiej",* bo w dodatku nazywają siebie *„gejami"* czyli wesołkami. Przypomina mi to anegdotkę o pacjencie pewnego psychiatry, który z zagadkowych powodów moczył się w nocy. Ponieważ doktor nie mógł mu nic na to poradzić, przestał do niego przychodzić. Pewnego razu ów psychiatra spotkał w towarzystwie znajomego psychologa i od słowa do słowa zgadało się o tym pacjencie. Okazało się, że odbył on terapię u psychologa, który z jej wyników był bardzo zadowolony. - To co, przestał się już moczyć w nocy – pyta psychiatra? - Nie, moczy się tak jak przedtem, tylko że teraz jest z tego dumny !

Wracając do przesłuchania Wielce Czcigodnego posła Żalka przez panią red. Kolendę-Zaleską, to kiedy poseł upierał się przy opinii, iż to całe „LGBT", to „ideologia", zirytowana pani redaktor, która najwyraźniej dostała rozkaz traktowania „"LGBT", jako „ludzi", po prostu wyrzuciła swego gościa za drzwi. Muszę powiedzieć, że poseł Żalek i tak miał szczęście, że skończyło się tylko na tym, a nie na przykład – na zerwaniu paznokci i zmuszeniu go w ten sposób do prawidłowych odpowiedzi. Jak tak dalej pójdzie, to dojdziemy i do tego, ale najciekawsze jest to, że poseł Żalek miał rację: sodomizm i gomoryzm to ideologia, podobnie jak komunizm, czy faszyzm i dopiero ludzi tę ideologię wyznających nazywamy, to znaczy – ja nazywam - sodomitami i gomorytami, podobnie jak wyznawców komuny nazywamy komunistami, a wyznawców faszyzmu – faszystami – na co zwrócił uwagę kol. Rafał Ziemkiewicz. Na czym polega ideologia sodomizmu i gomoryzmu ? Na tym, by sodomici i gomoryci mogli narzucić swoje upodobania wszystkim innym, podobnie jak to miało miejsce w przypadku komunizmu, czy faszyzmu. Najskuteczniejszym sposobem jest opanowanie instytucji państwowych, by za ich pomocą, sodomizm i gomoryzm narzucić wszystkim, zarówno poprzez odpowiednie prawa, jak i orzecznictwo niezawisłych sądów. Nawiasem mówiąc niezawiśli sędziowie też muszą mieć jakieś preferencje seksualne, więc trudno się dziwić, gdyby nie przekładały się one na orzecznictwo. Słowem – sodomizm i gomoryzm ma zostać narzucony wszystkim za pośrednictwem państwa, a to stawia tę ideologię w jednym szeregu z faszyzmem i komunizmem.

Stanisław Michalkiewicz

Pół wieku trwania na ordynansach

O. Eustachy Rakoczy OSPPE, Jasnogórski Kapelan Żołnierzy Niepodległości w towarzystwie Koordynatorów Polonia Semper Fidelis: Wojciecha Kosiby oraz Stanisława Matejczuka podczas spotkania na Jasnej Górze w listopadzie 2018 roku (fot. Paweł Milla, Stowarzyszenie Ruch Kontroli Wyborów)

W dniu 13 czerwca 50-lecie posługi kapłańskiej Bogu i Ojczyznie obchodził Jasnogórski Kapelan Żołnierzy Niepodległości O. Eustachy Rakoczy. Z tej okazji w niedzielę, 14 czerwca Prezydent Andrzej Duda odznaczył Jubilata Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, którym na Jasnej Górze udekorował go w imieniu Prezydenta minister Andrzej Dera. Odczytał on również specjalny list Prezydenta Dudy na tę okazję. Czytamy w nim m.in.:

„Zarówno pełniąc obowiązki kapelana licznych organizacji kombatanckich i środowisk niepodległościowych, jak i rozwijając badania naukowe, i upowszechniając wiedzę o spuściźnie duchowej i kulturowej sanktuariów na Jasnej Górze i w Leśnej Podlaskiej, konsekwentnie przyczynia się Ojciec Profesor do umacniania wierności naszego narodu własnemu dziedzictwu i tożsamości [...] Wśród licznych dzieł i przedsięwzięć, których jest Ojciec inicjatorem, chcę też podziękować za troskliwe i wytrwałe zabiegi w obronie prawdy i pamięci o dziejach ojczystych. Niech znakiem uznania i wdzięczności wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej za wszystkie te dokonania będzie wręczany Ojcu dzisiaj Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski”

Gościem uroczystej Mszy św. na Jasnej Górze był m.in. szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, który wręczył jubilatowi replikę szabli oficerskiej oraz pamiątkowy dyplom.

Na zakończenie Mszy Świętej dostojny Jubilat powiedział: *„50 lat, pół wieku! Jesteśmy szczęśliwi Bogu, że nas zachował po dzień dzisiejszy, bo wielu z nas nie doczekało tego momentu. Bogu niech będą dzięki, więc śpiewamy, aż by niebo całe słyszało! Dzisiaj przynosimy przed ołtarz my, jubilaci, swoje złote „jestem”. Maryjo, przyjmij je.”*

Ojciec prof. Eustachy Rakoczy urodził się w 1943 roku w Budzyniu, w Wielkopolsce jako Bolesław Kazimierz. W 1962 roku wstąpił do Zakonu Paulinów w Częstochowie, przyjmując imię zakonne Eustachego. 13 czerwca 1970 roku przyjął święcenia kapłańskie. W 1975 roku Prymas Tysiąclecia Ks. Kardynał Stefan Wyszyński mianował go Jasnogórskim Kapelanem Żołnierzy Niepodległości. W latach 70. i 80. był organizatorem duszpasterstwa kombatantów, wśród których posługuje od ponad czterdziestu lat. Jest historykiem sztuki i doktorem habilitowanym nauk teologicznych.

Z jego inicjatywy na Jasną Górę trafiły znaki Cnoty Rycerskiej, czyli krzyże wszystkich klas Orderu Wojennego Virtuti Militari. Aktu Ofiarowania w obecności Prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego dokonali najstarsi rangą generałowie i oficerowie, którzy odpięli od swych mundurów to najwyższe wojskowe odznaczenie i ofiarowali Królowej Polski. W 1976 r. o. Rakoczy pracował nad zabezpieczeniem dokumentacji tak środowisk kombatanckich, jak i działalności patriotyczno-niepodległościowej. W środowiskach kombatanckich jest znany jako Jasnogórski Kapelan Żołnierzy Niepodległości. Z Jasnej Góry duszpastersko posługiwał sędziwym Weteranom Wojska Polskiego, Legionistom Józefa Piłsudskiego, Powstańcom Wielkopolskim, Żołnierzom Armii Krajowej oraz Żołnierzom Batalionów Chłopskich. Jest Kapelanem Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919.

Jest autorem takich książek jak Jasnogórska *„Mensa Mariana”, „Sanktuarium Maryjne w Leśnej Podlaskiej w XIX wieku”, „Mensa Mariana”, „Jasnogórska Hetmanka”, „Znak Ojczyzny”, „Na ordynansach trwamy... Z Królową Polski – żołnierski apel”*, a także licznych artykułów.

Dołączamy się do najlepszych życzeń dla Dostojnego Jubilata i modlitwą o dalsze długie lata trwania na ordynansach u Maryi Królowej Polski.

Redakcja

Niezłomny do końca
Ks. Sylwester Zych—ostatnia ofiara PRL

11 lipca minie 31 rocznica ostatniego z długiego pasma zbrodni komunistycznych, popełnionych na polskich kapłanach, których główną dewizą była służba Bogu i Ojczyźnie—Deo et Patriae. W tym to dniu tzw. „nieznani sprawcy" zamordowali księdza Sylwestra Zycha. Był to trzeci kapłan, zabity w pamiętnym roku 1989, roku „okrągłego stołu", porozumień z Magdalenki, plebiscytu popularności, nazywanego „wolnymi wyborami" do Sejmu i Senatu jeszcze wówczas PRL. Tuż przed rozmowami „okrągłego stołu" zgładzono księży: Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca. Komunistyczna bestia aparatu bezpieki, nie będąc do końca pewna swojej przyszłości, kopała w podstawy narodowe i katolickie Polaków, mordując księży.

Przez trzydzieści lat rządzący Polską kazali nam wierzyć, że rok 1989 był pierwszym rokiem wolności, zaś uwłaszczenie i bezpieczne urządzenie byłej nomenklatury PRL było zbawiennym dla Polski. Świętowanie „ponownego odzyskania niepodległości" było tym bardziej nieodpowiedzialne, że świętowano nad zamordowanymi polskimi kapłanami, których jedyną winą była niezłomność umiłowania Boga i Ojczyzny.

Właśnie taką postacią był ksiądz Sylwester Zych, którego ciało—podobno—znaleziono na przystanku autobusowym w Krynicy Morskiej 11 lipca 1989 roku. Piszę „podobno", jako że ciało, które zostało znalezione na owym przystanku było zupełnie inaczej ubrane, niż ciało ks. Zycha, które zostało okazane rodzinie do identyfikacji w kostnicy w Elblągu. To zabójstwo wciąż budzi więcej pytań niż istnieje odpowiedzi na nie.

Kim był ksiądz Sylwester Zych ? Pochodził ze skromnej rodziny. Urodził się we wsi Ostrówek koło Wołomina. Ojciec, Franciszek, był z zawodu szewcem, ale imał się wielu innych prac, by zapewnić skromne utrzymanie rodzinie. Zychowie najwyższym trudem budowali skromny domek z pustaków w Lipinkach, w którym zamieszkali. Młody Sylwek, jako jedyny męski potomek Zychów, pomagał ojcu w budowie. Praca ponad siły sprawiła, że jego ojciec zmarł już w wieku 43 lat.

Sylwek chodził do szkół w Duczkach i Zielonce. W wieku 20 lat, w roku 1970, wstąpił do warszawskiego Seminarium Duchownego. Ukończył je z wyróżnieniem i w 1977 odebrał święcenia kapłańskie w katedrze warszawskiej z rąk Prymasa Tysiąclecia ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W działalności duszpasterskiej zajmował się głównie młodzieżą. Pod koniec lat 70-tych po raz pierwszy naraził się władzy komunistycznej, inicjując wieszanie krzyży w szkołach i przedszkolach w Tłuszczu.

Ksiądz Zych był uosobieniem naturalnego, a przez to niezwykle silnego połączenia służby Bogu i Ojczyźnie. Pamiętam, jak podczas jednej z przerw w procesie, w piwnicach Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, kiedy—jako skuci w jednej „parze" - siedzieliśmy w malutkiej celce, powiedział: „Student (mój pseudonim z konspiracji—przyp. wł.), pamiętaj, że przede wszystkim jestem kapłanem, ale i jestem Polakiem. Łączy nas to samo i musimy do końca trwać na posterunku."

Tę postawę wyrażał już wcześniej w swoich kazaniach, które znam tylko z innych przekazów. Osobiście po raz pierwszy spotkałem Sylwka dopiero we wrześniu 1982 roku, kiedy wyprowadzano nas z cel na Rakowieckiej, wioząc na proces. Mieliśmy się spotkać wcześniej, w dniu 15 marca 1982 roku, lecz wcześniejsze nasze aresztowanie zniweczyło te plany. Plany Boże widać były inne.

Po pamiętnym Sierpniu 1980 roku, ksiądz Zych wygłaszał już otwarcie pełne patriotyzmu kazania, które nie zawsze spotykały się z ciepłym przyjęciem proboszczów. Miał wielki wpływ na dzieci i młodzież, z którymi zawsze starał się być blisko, których problemy rozumiał, których był powiernikiem.

Od 25 maja 1981 roku pełnił posługę duszpastersko-katechetyczną jako wikariusz w parafii Świętej Anny w Grodzisku Mazowieckim. Już wtedy przykuwał wściekłą uwagę Służby Bezpieczeństwa tak swoimi kazaniami, jak i pracą z młodzieżą.

Pamiętam, jak po naszym uwolnieniu z więzień pod koniec 1986 roku: Sylwka z Braniewa, a mnie z Wrocławia, po przyjeździe do domu moich rodziców, powiedział:

„Młodzież to przyszłość Polski i na nią zawsze stawiałem. Bo młodzież nie jest jeszcze zdemoralizowana, wierzy w Boga i w Polskę. Moim obowiązkiem zawsze było strzec tego skarbu narodowego, rozumieć go i wspomagać. To był i jest mój obowiązek jako kapłana i jako Polaka."

Stan wojenny nie zastraszył ks. Zycha. Nadal wygłaszał kazania i rozpoczął nawet cykl mszy za Ojczyznę. Nic dziwnego, że od razu otoczył opieką duszpasterską—jako kapelan—tzw. „grupę grodziską" Sił Zbrojnych Polski Podziemnej. Tymczasowo przechowywał broń z rozbrajanek na plebanii, organizował złożenie przysięgi grupy na wierność Bogu i Ojczyźnie. Sam przybrał skromny pseudonim: „Anty" od słowa antykomunista.

W pokazowym procesie we wrześniu 1982 roku (jednym z kilku, o czym jakoś się przemilcza), skazano 8 osób. Robert Chechłacz ps. „Grot", „Dzieciątko" został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, Tomasz Łupanow ps. „Kowacz" na 13 lat, Stanisław Matejczuk na 6 lat, ks. Sylwester Zych na 4 lata (wyrok podwyższono do 6 lat), Tadeusz Własczczuk na 2 lata, pozostali oskarżeni: Jarosław Węcławski, Tomasz Krekora i Andrzej Hybik ps. „Świstak" zostali skazani na 2 lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat. W innych procesach skazano na 2 lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat inne osoby m.in. Agatę Syrokomlę ps. „Patrycja", Józefa Serwacińskiego ps. „Idealista", Marka Czarneckiego ps. „Litwin" i innych.

Właśnie ów proces, nagłaśniany jako pokazowy przez „tubę propagandy PRL" Jerzego Urbana, był w istocie rzeczy wyrokiem śmierci „odłożonym na później". Wyrokiem, który wykonali zbrodniarze z SB na nieugiętym ks. Sylwestrze Zychu. Już podczas aresztowania, po osadzeniu na słynnym złą sławą Pałacu Mostowskich, poza torturami i nieludzkim biciem („ścieżki zdrowia", biciem bezpośrednim po nerkach, zgniataniem jąder czy wbijaniem szpilek pod paznokcie itp.), wielu z nas zapowiadano, że nie pożyjemy długo. Sam prokurator kapitan Janusz Obara podczas jednego z przesłuchań powiedział ks. Zychowi:

„...u nas w resorcie takich spraw się nie zapomina ani nie wybacza..."

Podczas zaznajamiania się z kompletem akt oskarżenia, tuż przed naszym procesem, natknąłem się na wiersz, napisany przez ks. Zycha w celi na Rakowieckiej. Zapamiętałem jego ostatnią zwrotkę:

„Kiedy wyjdę ocalały, wezmę sztandar w ręce swe,

Na nim będzie Orzeł Biały i mojego Związku znak.

Dokończenie na stronie 21

Na wolności Tobie, Boże, zabrzmi ma zwycięska pieśń

Orzeł bowiem wszystko może—nawet WRONie skręcić łeb !"

Nie muszę dodawać, z jak wielką wściekłością reżimu spotkały się te proste słowa, które zostały dołączone do dowodów w sprawie jako materiał obciążający. Największą chyba wściekłość naszych oprawców wzbudzał fakt, że w ogóle żyjemy. W krótkim okresie dwóch tygodni, w których odbywał się nasz proces, byliśmy poddawani wielu szykanom. A to każdego dnia przy wyprowadzaniu nas z cel do „budy", którą wieziono nas na salę sądową byliśmy rozbierani do naga na malutkim skrawku podłogi między kratami wyjściowymi z II pawilonu, kazano nam robić przysiady ku uciesze obserwujących nas konwojentów i więźniów, pracujących na korytarzu. Dowódca konwoju zerwał mi z szyi różaniec, który następnie doszczętnie porwał—zebrałem jego paciorki z betonowej posadzki i starałem się potem w celi złożyć go zębami, ale—niestety—kilka paciorków zginęło. Podczas rozprawy na pytanie mec. Siły-Nowickiego (był obrońcą zarówno Sylwka jak i moim) przewodniczący składu sędziowskiego płk Monarcha odpowiedział, że: „...różaniec jest narzędziem niebezpiecznym, na którym podejrzany Matejczuk mógłby się powiesić" (!!!)

Dzielę się tylko tymi wspomnieniami o represjach, którymi byliśmy razem z ks. Zychem szczodrze obdarzani w czasie, kiedy byliśmy zakuwani w „parze" i mogliśmy ich razem doświadczać i obserwować. Jak już wspomniałem, nasza droga przez mękę trwała od chwili aresztowania i ciągnęła się później, już po skazaniu nas i rozwiezieniu do różnych więzień. Ks. Zycha osadzono w więzieniu w Braniewie, mnie zaś w Strzelcach Opolskim (ZK nr 1), a później we Wrocławiu przy ulicy Kleczkowskiej.

W więzieniu ks. Sylwester Zych walczył o swoje prawa kapłańskie do sprawowania Najświętszej Ofiary w celi, za co spotykały go dodatkowe represje ze strony władz. Prowadził głodówki o symbolicznej wymowie: w każdy czwartek na pamiątkę Wielkiego Czwartku i ustanowienia przez Chrystusa kapłaństwa.

Nie obejmowały ani ks. Zycha, ani mnie absolutnie żadne tzw. „amnestie" w okresie 1982-1986. Ostatecznie zwolniono nas obu w dniu 10 października 1986 roku na podstawie orzeczenia Sądu Najwyższego z dnia 7 października. Był to rezultat odmowy przystąpienia do rozmów finansowych strony amerykańskiej z przedstawicielami reżimu PRL, które miały rozpocząć się w Wiedniu w dniu 5 października. Delegacji USA przewodniczyli Panowie: George H. W. Bush (senior—późniejszy Prezydent) i George P. Schultz, którzy wyszli z Sali po uzyskaniu negatywnej odpowiedzi na pytanie o nasze uwolnienie.

W aktach IPN znajduje się sfałszowana kopia tego postanowienia. Fałszerstwo polega na ręcznym wpisaniu daty dziennej orzeczenia SN jako 10 października 1986 roku. Chciano w ten sposób zatrzeć ślad dowodu, że orzeczenie wydano w związku z trwającymi rozmowami ze stroną amerykańską, która powróciła na salę obrad w dniu 8 października. Osobiście dysponuję niezafałszowaną kopią tego dokumentu z datą maszynopisową 7 października.

Uwolnienie ks. Sylwestra Zycha wcale nie zakończyło jego walki z komunizmem. Został on kapelanem Konfederacji Polski Niepodległej. Występował również jako kurier w poufnych sprawach tej partii. W dniu 4 lutego odprawił Mszę Świętą przed II Kongresem KPN.

Już od chwili wyjścia z więzienia otrzymywał anonimy, grożące mu śmiercią. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie poddawał się do końca. Niezwykle charakterystyczny jest jego testament, spisany 23 października 1987 roku, a więc rok po wyjściu z więzienia:

„Czuję, że zbliża się mój dzień—czas spotkania z Panem, który uczynił mnie swoim kapłanem [...]

Dziękuje wszystkim, którzy dla mnie byli kochani, a zwłaszcza tym, którzy podali mi rękę, gdy byłem w więzieniu.

Do nikogo nie czuję nienawiści, dla wszystkich chcę być bratem i kapłanem. Solidarnym Sercem jestem ze wszystkimi, którzy jeszcze walczą, którzy dążą do Polski wolnej i niepodległej.

Wielką łaską jest dla mnie to, że z niektórymi z Was walczyłem i siedziałem Niech dobry Bóg Wam błogosławi i sprawi, abyśmy mogli się spotkać na gruzach komuny. Walczyłem, jak umiałem, walczyłem do końca, byłem w więzieniu, ale myślę, że Polsce trzeba dać więcej, trzeba dać siebie do końca—jak ksiądz Jerzy—mój Przyjaciel i Patron z nieba.[...]"

Mija ponad trzydzieści lat od bestialskiego morderstwa, popełnionego na osobie ks. Sylwestra Zycha. Morderstwa nigdy nie rozliczonego, a którego sprawcy nadal są bezkarni. Taką też smutną rocznicę obchodzimy w tym roku, jeśli chodzi o zamordowanie księży Niedzielaka i Suchowolca. Lewacka propaganda postkomunistyczna układała peany na temat odzyskania pełnej niepodległości, na temat wspaniałości i dokonań rządzących w tym czasie. Z pewnością owe wspaniałości III RP dotyczą morderców, którzy w kułak naśmiewają się ze swoich ofiar i którzy cieszyli się szczególnymi względami rządzących.

Wszystkie śledztwa w sprawie morderstw, popełnionych przed 31 laty na polskich kapłanach zostały umorzone „z powodu niewykrycia sprawców". Morderstwo, popełnione na osobie ks. Sylwestra Zycha świadczy o szczególnym bestialstwie, co potwierdziły zwłaszcza wyniki autopsji czy też zdjęcia zwłok polskiego kapłana, wykonane po identyfikacji ciała w Zakładzie Medycyny Sądowej w Elblągu. Do dzisiaj nie zostało ustalone nawet miejsce popełnienia morderstwa, jako że ciało, znalezione na przystanku autobusowym w Krynicy Morskiej było inaczej ubrane niż ciało ks. Zycha, które przedstawiono do identyfikacji rodzinie w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Śledztwo umorzono pomimo wielu pytań, których ilość stale rośnie wobec ujawniania nowych faktów czy wreszcie wobec relacji świadków. Stale obowiązuje „jedyna słuszna" wersja wydarzeń, ułożona w kilka godzin po ujawnieniu morderstwa przez ówczesnego Prezesa Radiokomitetu (a byłego rzecznika prasowego reżimu komunistycznego) Jerzego Urbana o rzekomym „śmiertelnym nadużyciu alkoholu" przez kapłana, który był abstynentem.

Czy kiedykolwiek doczekamy się rzetelnie przeprowadzonego śledztwa w sprawie bestialskiego mordu, popełnionego na osobie ks. Zycha ? Trudno na to pytanie odpowiedzieć.

Stanisław Matejczuk, ps. „Student"

Wybieram Polskę…lub ?

Wybory, które przed nami to nie będzie głosowanie na taką czy inną osobę, tę czy tamtą partię. To będzie oddanie głosu za Polską albo przeciw niej. To będzie plebiscyt. Nie pierwszyzna to w naszej najnowszej historii. Chociaż nigdy w grę nie wchodził wybór głowy państwa w sytuacji, kiedy jako wartości motywujące in plus i in minus była Polska wychodząca na rzeczywistą niepodległość i otrząsająca się z tego nawisu bylejakości, a z drugiej strony Polska widziana jako wasal, obojętnie którego sąsiada, byle zapewniał on wspierającym jego dominację odpowiednie korzyści.

Nie trzeba tu specjalnie dawać cenzurki tzw. opozycji, a w gruncie rzeczy, niezależnie od jej barw uderzającej wspólnie w byt tego państwa, z którego od 1989 r. jej prominenci czerpali złodziejskie fortuny biorąc tantiemy od złodziei okradających to państwo i ten naród, którego znaczna część nie może zrozumieć, że kto okrada państwo, okrada ich. A to przecież takie proste. Myli się każdy, kto chciałby różnicować opozycję na tę patriotyczną i tę targowicką. Patriotyczna opozycja byłaby taka, która by chciała pracować dla dobra tego kraju. Takiej nie ma. Każda argumentuje brzmi: bo nie. I nikogo nie obchodzi, że jest to argument głupca. Weźmy dla przykładu Konfederację. Wielu widzi w niej odżywanie ruchu narodowego. Oto przykład myśli endeckiej:

- *Gdyby kandydat Konfederacji Krzysztof Bosak nie dostał się do drugiej tury wyborów prezydenckich, to trzeba będzie zagryźć zęby i zagłosować na Rafała Trzaskowskiego* – powiedział polityk Konfederacji Jacek Wilk. Według niego, największym problemem Polski jest *„dyktatura większości, czyli rozkwit demokracji w wykonaniu prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego”. - Rafał Trzaskowski, przy wszystkich jego wadach ma jedną zaletę niekwestionowaną - może tę dyktaturę wetować* - podkreślił.

Wierchuszka Konfederacji szybko zorientowała się, że taka szczerość nie popłaca, zatem:

Konfederacja zdecydowanie dementuje wszystkie wypowiedzi i sugestie o poparciu w wyborach prezydenckich jakiegokolwiek kandydata innych partii czy środowisk. Naszym celem jest wprowadzenie Krzysztofa Bosaka do drugiej tury i walka o zwycięstwo do ostatniego dnia kampanii wyborczej

Jak Konfederacja chce Bosaka wprowadzić do II tury to ich tajemnica. A komu odda schedę po nim ? To już tajemnicą nie jest, bo Wilk się wygadał.

Z kolei pan Budka wystąpił jako konstruktor nowej Polski.

Dzisiaj walka toczy się o to jak Polska będzie skonstruowana. Czy będzie to model, do którego zawsze dążył Jarosław Kaczyński, model Polski centralistycznej, z silną władzą w Warszawie, z absolutnym spacyfikowaniem samorządowców, z wielkimi centralnymi inwestycjami – jak w epoce słusznie minionej – których ludzie nie rozumieją, często nie chcą, które służą władzy do celów propagandowych. Alternatywą jest to co mówi Rafał Trzaskowski. Polska samorządowa, Polska, w której inwestycje lokalne kształtują rynek pracy, inwestycje lokalne dają nadzieję, inwestycje lokalne często są tym kluczem do dobrobytu, do tego by w czasach trudnych dać ludziom pracę. To ludzie będą decydowali na co przeznaczane są ich pieniądze.

Proszę wybaczyć, ale w przeciwieństwie do przewrotności i naiwności ludzi z Konfederacji, a także tych, którzy z poparciem kilku procent stale myślą o pałacu prezydenckim, to oświadczenie jest po prostu głupie i w dużej mierze kłamliwe. Bo to jaka Polska była pod rządami PO/PSL i jaka jest dzisiaj widać gołym okiem. Kiedyś w studiach podstawowych uczono się maksymy: contra factum nullum argumentum – nie ma argumentu przeczącemu faktom. Według pana Budki i jego towarzyszy jest taki argument, bo on tak twierdzi, a fakty? Tym gorzej dla faktów. Skądś to znamy, Pan Budka jest za młody, by to pamiętać, widocznie maksyma zadomowiła się jednak w jego partii.

Można sobie z tego wszystkiego dworować, ale sytuacja jest groźna. Niekoniecznie z powodu niebezpieczeństwa, że część narodu da zielone światło dla Polski pogańskiej, wydanej na łup cwaniaków, zanurzonej w tęczowej zawiesinie, Polski, która znowu będzie ubogim krewnym ginącego świata zachodniego. Tego się bójmy, ale najbardziej lękamy się głupoty wielu Polaków, która nie zna granic. Sprawdziła się na Warszawie, której smrodliwy wyciek może zapowietrzyć całą Polskę.

Zygmunt Zieliński

Bitwa pod Grunwaldem (olej, Jan Matejko 1878 rok)

Bitwa pod Grunwaldem (w literaturze niemieckiej pierwsza bitwa pod Tannenbergiem) – jedna z największych bitew w historii średniowiecznej Europy (pod względem liczby uczestników), stoczona na polach pod Grunwaldem 15 lipca 1410 w czasie trwania wielkiej wojny między siłami zakonu krzyżackiego wspomaganego przez rycerstwo zachodnioeuropejskie (głównie z Czech, z wielu państewek na Śląsku, z Pomorza Zachodniego i z pozostałych państewek Rzeszy), pod dowództwem wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena, a połączonymi siłami polskimi i litewskimi (złożonymi głównie z Polaków, Litwinów i Rusinów) wspieranymi lennikami obu tych krajów (Hospodarstwo Mołdawskie, Księstwo Mazowieckie, Księstwo Płockie, Księstwo Bełskie, Podole i litewskie lenna na Rusi) oraz najemnikami z Czech, Moraw i z państewek ze Śląska oraz uciekinierami ze Złotej Ordy i chorągwiami prywatnymi (między innymi chorągiew z Nowogrodu Wielkiego księcia Lingwena Semena), pod dowództwem króla Polski Władysława II Jagiełły.

Najogólniej można powiedzieć, że bitwa ta zakończyła się zwycięstwem wojsk polsko-litewskich i pogromem sił krzyżackich, nie została jednak wykorzystana dla całkowitego zniszczenia zakonu.

Sama bitwa była logiczną konsekwencją stosunków polsko-krzyżackich lat 1226—1410.

Na początku XIII wieku książęta Władysław Odonic, Konrad Mazowiecki, Mściwój I gdański, Leszek Biały i Henryk Brodaty prowadzili akcję chrystianizacyjną na terenach pogańskich Prus. Akcję misyjną prowadził opat zakonu cystersów w Łeknie i zakon rycerski braci dobrzyńskich, powołany w tym celu przez księcia Konrada. Akcje te – podobnie jak akcja biskupa Chrystiana w oparciu o fundację dobrowską – nie przyniosły jednak spodziewanych efektów.

W tej sytuacji w 1226 roku książę mazowiecki Konrad zaprosił, za namową Jadwigi Śląskiej, na swoje ziemie zakon krzyżacki, oddając mu w dzierżawę ziemię chełmińską, gdzie zakon znalazł dogodną bazę do walk z plemionami Prusów, które zagrażały ciągłymi najazdami północnym rubieżom Mazowsza. Cesarz Fryderyk II oraz papież Grzegorz IX oficjalnie zezwolili zakonowi założyć swoje własne księstwo na terenach odebranych Prusom. Formalnie Księstwo to miało stać się częścią Świętego Cesarstwa Rzymskiego i jednocześnie lennem książąt mazowieckich.

Oprócz napływania kolejnych braci i kolonistów niemieckich, zakon otrzymał wsparcie papieża – wyprawy przeciw Prusom zyskały rangę krucjat, w których brali udział także polscy książęta. W 1235 do Krzyżaków przyłączyli się bracia dobrzyńscy, a w 1237 zakon kawalerów mieczowych zawarł z nimi sojusz polityczno-militarny, będący właściwie unią tych dwóch zakonów.

W XIII wieku stosunki polsko-krzyżackie były dobre, lecz wiek XIV – wraz ze wzrostem potęgi zakonu – przyniósł zmianę. Będąc królem Polski, Wacław II Czeski zawarł z Brandenburczykami umowę, na mocy której miał oddać Pomorze Gdańskie w zamian za Nową Marchię. Ostatecznie do zamiany nie doszło z powodu śmierci króla, jednak w 1308 Brandenburgia postanowiła skorzystać ze słabości państwa Władysława Łokietka i zajęła Pomorze. Książę zmuszony był zwrócić się o pomoc do Krzyżaków, którzy wyparli najeźdźców. Za swoją pomoc zażądali jednak wysokiej zapłaty, przewyższającej wartość odbitych ziem. Wobec odmowy zapłaty przez Władysława zagarnęli całe Pomorze Gdańskie w 1309 roku. Osłabiona w tym czasie Polska, podzielona wciąż na dzielnice, nie była w stanie natychmiast przeciwstawić się agresji, co spowodowało utratę tych ziem na długie lata.

W 1320 roku królem został Władysław I Łokietek, który wygrał proces z Krzyżakami przed sądem papieskim w Inowrocławiu. Wyrok z 1321 roku nakazał im zwrot Pomorza Gdańskiego Polsce, ale zakon, mimo polskich akcji dyplomatycznych i orzeczeń sądów papieskich, nie zamierzał zwrócić tych ziem.

W 1331 doszło do zawarcia groźnego dla Polski sojuszu Jana Luksemburskiego z Krzyżakami. Ci ostatni, licząc na wspólną akcję pod Kaliszem, najechali kraj od północy. Łokietek postanowił zaatakować część ich sił. 27 września 1331 roku doszło do starcia pod Płowcami na Kujawach. Bitwa nie została jednoznacznie rozstrzygnięta, lecz to strona polska zrealizowała swój cel – kampania Krzyżaków na ziemiach polskich została przerwana. Jednak już 9

Ciąg dalszy na stronie 24

Grunwald 1410

(ciąg dalszy ze strony 23)

kwietnia 1332 roku zakon ponownie napadł na Polskę, zagarniając Kujawy i ziemię dobrzyńską.

25 kwietnia 1333 na tronie polskim zasiadł syn poprzedniego króla, Kazimierz. Okazał się władcą niezwykle sprawnie poruszającym się w świecie

dyplomacji. W 1335 doprowadził do I Zjazdu Wyszehradzkiego, na którym za cenę 20 tysięcy kop groszy praskich oraz uznanie zwierzchności Jana Luksemburskiego nad Śląskiem, król Czech zrzekł się wszelkich praw do korony polskiej. Oznaczało to ostateczne przekreślenie sojuszu czesko-krzyżackiego. Ponadto usiłowano rozstrzygnąć sprawę utraconych przez Polskę ziem – jednak ponieważ rezultaty nie zadowalały króla polskiego, zdecydował się on na oddanie sprawy pod sąd papieski. Wyrok z 16 września 1339 nakazywał zwrot Kujaw, ziemi dobrzyńskiej i Pomorza Gdańskiego. Był to już drugi wygrany przez stronę polską proces, ale Krzyżacy ponownie nie zgodzili się na oddanie zagrabionych ziem.

Tymczasem zmarł książę Rusi Halickiej Bolesław Jerzy II, który przed śmiercią uczynił swym sukcesorem Kazimierza, co postawiło przed polską polityką zagraniczną nowe wyzwanie. Król musiał dokonać wyboru, gdyż Polska nie była wówczas na tyle silna, by podjąć się walki na dwóch frontach.

Kazimierz Wielki uznał, że lepszym nabytkiem dla Korony byłoby uzyskanie terenów księstwa ruskiego, w związku z czym spór z zakonem należało załagodzić. W tych warunkach doszło w roku 1343 do zawarcia pokoju w Kaliszu, dzięki któremu zapewniony został rozejm, a Polska odzyskała Kujawy i ziemię dobrzyńską. Poza tym Kazimierz Wielki zachował tytuł władcy Pomorza Gdańskiego, co w przyszłości mogło stanowić podstawę do ewentualnych roszczeń ze strony polskiej.

W 1397 na ziemiach zakonu powstała

Mapa ówczesnych ziem Rzeczypospolitej polsko-litewskiej

organizacja mająca bronić interesów lokalnego społeczeństwa przed uciskiem krzyżackim: Związek Jaszczurczy. Początkowo swoim zasięgiem obejmował jedynie ziemię chełmińską, z czasem jednak się rozrósł i stał się podstawą dla kolejnej struktury: Związku Pruskiego.

Kolejny kryzys we wzajemnych stosunkach nastąpił w 1401, tuż po zawarciu przez Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie unii wileńsko-radomskiej. Młodszy brat króla Władysława Jagiełły, Świdrygiełło, przeciwnik porozumienia polsko-litewskiego, stanął na czele buntu przeciw Witoldowi. Postanowił także poszukać wsparcia u Krzyżaków, którzy byli zainteresowani osłabieniem Litwy – jednak znów udało się zapobiec wojnie i w 1404 roku strony zawarły pokój w Raciążu, gdzie Witold przedstawił także polskie postulaty dotyczące kwestii utraconych ziem. Polska odkupiła ziemię dobrzyńską.

Tymczasem powrócił problem Santoka i Drezdenka, gdy w 1402 roku zakon krzyżacki nabył Nową Marchię. Podporządkowanie sobie tych grodów przez państwo zakonne doprowadziło do utwardzenia stanowiska Polski w kwestiach krzyżacko-litewskich. Gdy wielkim mistrzem został zwolennik konfrontacyjnej polityki wobec Polski, Ulrich von Jungingen, wybuch wojny stał się już tylko kwestią czasu.

Wiosną 1409, dzięki zabiegom wielkiego księcia litewskiego Witolda, wybuchło antykrzyżackie powstanie na Żmudzi. Wielki mistrz zakonu, Ulrich von Jungingen, wystąpił do króla Polski, Władysława Jagiełły, o zachowanie neutralności Polski w konflikcie Zakonu z Litwą popierającą Żmudź. Król odmówił. W konsekwencji wielki mistrz zmienił kierunek ataku i w pierwszych dniach sierpnia 1409 roku oddziały zakonne przekroczyły granice Polski, zajęły ziemię dobrzyńską i najechały Kujawy i Wielkopolskę. Jagiełło szybko odzyskał Kujawy i odbił Bydgoszcz, ale działania militarne kampanii 1409 roku na tym zakończono. 8 października 1409 roku pod zamkiem bydgoskim zawarto rozejm, który miał obowiązywać „do dnia św. Jana" – 24 czerwca 1410 roku. W umowie pośredniczyli książęta śląscy przysłani przez króla czeskiego Wacława: wrocławski, świdnicki i oleśnicki. Na mocy rozejmu ziemia dobrzyńska pozostała w rękach krzyżackich, a spór miał rozstrzygnąć król czeski. Zapisy rozejmu, z pozoru bardzo korzystne dla strony krzyżackiej, dawały Jagielle czas na zorganizowanie wyprawy wojennej w roku następnym. W Krakowie i Malborku rozpoczęto przygotowania do decydującego starcia. Obie strony położyły nacisk na działania dyplomatyczne. Krzyżacy już w grudniu 1409 roku zawarli sojusz z królem węgierskim, Zygmuntem Luksemburskim, który usiłował rozbić unię polsko-litewską. Po stronie Zakonu opowiedzieli się książęta Pomorza Zachodniego. Pospieszyli też liczni rycerze z zachodniej Europy. Państwa Unii zawarły pokój z Wielkim Księstwem Moskiewskim oraz przymierze z Mołdawią. Gotowość pomocy zaoferował pretendent do tronu tatarskiego, lennik Wielkiego Księcia Witolda, chan Złotej Ordy Dżalal ad-Din, syn Tochtamysza. Wszystkie strony dokonały zaciągu rycerzy. Polacy prowadzili werbunek w Czechach (stąd przybyło niemal 3000 zaciężnych pod wodzą Jana Sokoła).

Ciąg dalszy na stronie 25

(ciąg dalszy ze strony 24)

Szczegółowy polski plan wojenny kampanii 1410 roku zaplanowano prawdopodobnie w Brześciu Litewskim w grudniu 1409, podczas narady króla Jagiełły z Witoldem, z udziałem podkanclerzego koronnego Mikołaja Trąby. Główne natarcie postanowiono skierować na Malbork z zamiarem zmuszenia Zakonu do podjęcia walnej rozprawy. Jako miejsce ostatecznej koncentracji wojsk wybrano Czerwińsk nad Wisłą.

Zakon był świadom przygotowań strony polsko-litewskiej i spodziewał się dwukierunkowego ataku – Polaków na Pomorze Gdańskie i Litwinów w kierunku Żmudzi. By odeprzeć to zagrożenie, Ulrich von Jungingen skoncentrował część swych sił pod Świeciem, pozostawiając jednocześnie znaczną część swej armii w zamkach na wschodzie – w Ragnecie w pobliżu Giżycka i Memelu (Kłajpeda). Polacy i Litwini nadal ukrywali swoje intencje, organizując kilka rajdów głęboko na terytorium wroga. Ulrich von Jungingen poprosił o przedłużenie rozejmu do 4 lipca, by mogli przybyć zaciężni z zachodniej Europy. Strona polsko-litewska miała wystarczająco dużo czasu, żeby zebrać siły.

30 czerwca 1410 oddziały z Wielkopolski i Małopolski przekroczyły pod Czerwińskiem Wisłę, po moście pontonowym, i 2 lipca połączyły się z siłami z Mazowsza i Litwy. Połączone wojska dzień później podjęły marsz, pozorując atak na zajętą przez Krzyżaków w roku poprzednim ziemię dobrzyńską, ale po tygodniu wkroczyły na terytorium zakonu krzyżackiego, kierując się wprost na stolicę zakonu w Malborku. Krzyżacy zostali całkowicie zaskoczeni.

5 lipca doszło do potyczki wojska pod dowództwem Janusza Brzozogłowego, który pokonał krzyżacką załogę Świecia. Następnie do Jagiełły przybyli posłowie Zygmunta Luksemburczyka, którzy proponowali przeprowadzenie sądu polubownego z udziałem króla Węgier. Jagiełło postawił jednak twarde warunki w przewidywaniu, że Krzyżacy je odrzucą. (W obecności posłańców węgierskich, 6 lipca, Witold przeprowadził przegląd wojsk.) Ulrich von Jungingen odpowiedział, że uczyni wszystko, by zniszczyć siły przeciwnika. 7 lipca wojska polsko-litewskie zajęły Bądzyn, ujawniając tym samym, iż zmierzają w głąb terytorium państwa krzyżackiego. Pod Bądzynem zatrzymały się na dwa dni, po czym kontynuowały marsz i 9 lipca, weszły na terytorium Prus. Po przebyciu granicy po raz pierwszy podniesiono wszystkie chorągwie i odśpiewano Bogurodzicę. 10 lipca sprzymierzeni wyruszyli ze swojego obozu pod Lidzbarkiem, pozostawiając w nim część sił. Po dwóch milach marszu podjazd polski natknął się na spore siły nieprzyjaciela, które obsadziły przeprawę nad Drwęcą. Okazało się, że Ulrich von Jungingen rozpoczął pospieszną koncentrację swoich wojsk przez wycofanie ich spod Świecia i zdecydował się zorganizować linię obrony na rzece Drwęcy.

Brody przez rzekę były ufortyfikowane przy pomocy palisad, a pobliski zamek w Kurzętniku wzmocniony. Po naradzie z powołaną radą wojenną Jagiełło postanowił ominąć zastawioną pułapkę i obejść wojska zakonne od wschodu. Wojska unii wycofały się 11 lipca spod Kurzętnika i następnie przez Lidzbark Welski i Działdowo (a ich część, prawdopodobnie oddziały litewskie i tatarskie, również przez Nidzicę) kontynuowały marsz w kierunku Malborka. 13 lipca siły sprzymierzonych dotarły do miasta (i zamku) Dąbrówna, które zostało zdobyte, splądrowane i spalone. Po jednodniowym postoju pod Dąbrównem wojska polsko-litewskie ruszyły, przed świtem 15 lipca, wszystkimi drogami w kierunku Ulnowa i jeziora Lubień na wschód od Grunwaldu, gdzie rozłożyły się obozami. Tymczasem wojska krzyżackie, po odejściu wojsk polsko-litewskich znad Drwęcy, pomaszerowały przez Bratian i Lubawę w kierunku Grunwaldu i Stębarka, z zamiarem przecięcia drogi wojskom królewskim.

Rankiem 15 lipca 1410 roku obie armie stanęły naprzeciw siebie. Wojska polskie i litewskie rozlokowane były na wschód od Łodwigowa i Stębarka, na skraju i częściowo w lasach, w pobliżu jeziora Lubień. Lewe skrzydło tworzyły główne siły polskie, pod dowództwem marszałka Zbigniewa z Brzezia, i składały się w większości z ciężkiej jazdy. Prawe skrzydło wojsk koalicji tworzyło rycerstwo z Wielkiego Księstwa Litewskiego, pod dowództwem wielkiego księcia Witolda, składające się w większości z lekkiej kawalerii. Wśród sił prawego skrzydła były chorągwie z całej Litwy, jak również posiłkowe oddziały Tatarów, prowadzone przez chana Dżalal ad-Dina, oddziały mołdawskie przysłane przez hospodara Aleksandra Dobrego oraz prawdopodobnie oddziały serbskie. Centrum stanowiły zaciężne rycerstwo z Czech i Śląska oraz trzy chorągwie smoleńskie. Całością wojsk unii dowodził król Władysław Jagiełło.

Jak podaje Jan Długosz, przed rozpoczęciem batalii trzystu najemnych żołnierzy czeskich wycofało się bez wiedzy króla z pola bitwy. Zawrócili jednak, gdy podkanclerzy Królestwa Polskiego, Mikołaj Trąba, napotykając ich na swojej drodze, wypomniał im strach przed wojskami zakonnymi. Mimo to podczas bitwy najemnicy z Czech i Moraw z chorągwi św. Jerzego prawdopodobnie ponownie opuścili plac boju, za namową swojego chorążego Jana Sarnowskiego. Również tym razem dostrzegł ich Mikołaj Trąba i oskarżył Jana o zdradę.

Bitwa rozpoczęła się około godziny 13-tej. Za tą godziną przemawia zarówno opis Jana Długosza, jak i polskie warunki tej pory roku. Powołując się na to, co napisałem powyżej: obie armie stanęły naprzeciw siebie rankiem 15 lipca. Przy pięknym lecie (w dodatku upalnym) tego dnia wojska polskie i litewskie stały w cieniu drzew, podczas gdy ciężkozbrojne, okute w blachy wojska krzyżackie były wystawione na pełne słońce. Tę okoliczność wspaniale wykorzystał znakomity strateg król

Dokończenie na stronie 26

Grunwald 1410

(dokończenie)

Władysław Jagiełło, wiedząc że przebywanie wielogodzinne na takim słońcu musi prowadzić do fizycznej upadłości przeciwnika, uzbrojonego w dodatku w blachy. I tak też się stało, a wzmianka Długosza o „dwóch krzyżach" jest znamiennym dowodem na zniecierpliwienie się wielkiego mistrza krzyżackiego Ulryka von Jungingena, który dostrzegł (zbyt późno) niebezpieczeństwo.

Naprzeciw wojsk krzyżackich – ...a dzieliła ich nawzajem od siebie odległość jednej strzały – stały ukryte w lasach armie sprzymierzonych. Długie wyczekiwanie w pełnym słońcu sprowokowało wielkiego mistrza do wysłania emisariuszy z prowokacyjnym podarunkiem: dwoma nagimi mieczami. Długosz tak opisuje ten fakt: Wielki mistrz pruski Ulryk posyła tobie i twojemu bratu... dwa miecze, ku pomocy, byś z nim i z jego wojskiem mniej się ociągał i odważniej, niż to okazujesz, walczył, a także żebyś dalej się nie chował i, pozostając w lasach i gajach, nie odwlekał walki. Niedługo potem całe wojsko królewskie zaśpiewało donośnym głosem ojczystą pieśń Bogurodzicę, i wznosząc kopie rzuciło się do walki. Aby w ferworze walki można było rozpoznać się na polu bitwy, ustalono hasła, które brzmiały: Kraków, Wilno.

Bój trwał ponad sześć godzin i skończył się przed zachodem słońca. Przewagę na placu boju miały praktycznie cały czas wojska dowodzone przez króla Polski.

Wynik bitwy miał istotny wpływ na ówczesne stosunki polityczne, ponieważ wyniósł dynastię jagiellońską do rangi najważniejszych w Europie. Według niektórych badaczy (np. Stefan Maria Kuczyński, Paweł Jasienica), zwycięstwo odniesione głównie siłami polskimi, spowodowało pewien kryzys w stosunkach polsko-litewskich i miało wpływ na postawę króla, który obawiając się dalszego wzrostu znaczenia Korony w Unii miał opóźniać pościg za niedobitkami wojsk zakonu krzyżackiego i nie zdobył Malborka. Nowością było wykorzystanie przez wojska królewskie w przeprawie przez Wisłę średniowiecznego odpowiednika mostu pontonowego. Wielu zaproszonych przez zakon rycerzy miało odmówić udziału w bitwie widząc dysproporcję sił i przeczuwając jego porażkę.

Wiadomo, że król Władysław Jagiełło polecił odnaleźć zwłoki wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena i co ważniejszych braci zakonnych aby odesłać je z honorami do Malborka. Trofeami wojennymi było przede wszystkim 51 chorągwi krzyżackich. Szczegółowy ich opis wraz z ilustracjami podał Jan Długosz w swoim dziele Banderia Prutenorum, spisanym w XV wieku. Część z nich została przyznana księciu Witoldowi, te które trafiły do wawelskiej katedry zostały w 1797 wywiezione przez Austriaków do Wiednia i ślad po nich zaginął. W 1937, na podstawie opisów z dzieła Długosza, chorągwie zostały zrekonstruowane i umieszczone na Wawelu. Podczas okupacji niemieckiej hitlerowcy wywieźli je do zamku malborskiego. Kolejnym trofeum były dwa słynne nagie miecze ofiarowane Jagielle przez Krzyżaków (przechowywane były w wawelskim skarbcu, później trafiły do kolekcji Izabeli Czartoryskiej w Puławach, lecz w 1853 zostały wywiezione do Rosji i ślad po nich zaginął).

W bibliografii niemieckiej bitwa pod Grunwaldem występuje jako bitwa pod Tannenbergiem (Schlacht bei Tannenberg). Obecna nazwa tej miejscowości to Stębark.

Pole bitwy dotychczas nie doczekało się systematycznego przebadania pod względem archeologicznym. Istnieją dziewiętnastowieczne doniesienia o różnych przypadkowych odkryciach – np. w kościele w Stębarku przechowywano kilka kamiennych kul armatnich i elementy zbroi, a w zamku w Dąbrównie znaleziono siekierę bitewną i inne fragmenty zbroi.

Grunwald—ruiny cmentarza poległych (fot. archiwum)

Polskie badania archeologiczne rozpoczęły się w 1958 i trwały do lat 90., lecz objęły niewielką część pobojowiska, m.in. nie odnaleziono wspomnianego przez kronikarzy miejsca pochówku kilkuset znaczniejszych rycerzy obu stron w okolicach stębarskiego drewnianego kościoła i nie przebadano pobliskich bagien, gdzie podobno zginęło wielu uciekinierów z pola walki. Odnaleziono kilka zbiorowych mogił w pobliżu ruin kaplicy wzniesionej przez Krzyżaków po bitwie. Szkielety nosiły ślady po ciosach zadanych mieczem, toporem czy po trafieniach bełtami z kuszy.

Wielkie zwycięstwo pod Grunwaldem sprzed 610 lat jednak nie zostało wykorzystane. Wojska polsko-litewskie oblegały—co prawda—Malbork, ale na tym się skończyło. Być może zaważył na tym fakt, że Polska nigdy nie prowadziła wojen zaczepnych i zdobywanie twierdz nie było jej specjalnością. Ważną innowacją tej wojny było wprowadzenie przez wojsko polskie mostów pontonowych przy przekraczaniu rzek. Wojna polsko-krzyżacka zakończyła się ostatecznie podpisaniem pokoju w Toruniu dopiero w 1466 roku, chociaż niektóre źródła podają tę datę jako koniec tzw. „drugiej wojny krzyżackiej", która była niczym więcej jak kontynuacją wojny z początków XV wieku.

Stanisław Matejczuk

Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com

Printed and Copyrighted by Polonia Semper Fidelis